

Uwaga kierownicy
kiosków „Ruchu”!
To jest

MAŁGOSIA OSTROWSKA

która śpiewa pierwszorzędnie
ma tęczę nad okiem
i włosy „na szuwary”!
Nie chowajcie jej
przed Czytelnikiem!



Wywiad - str. 12

Fot. T. Gawalkiewicz

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 4 (797)

12 - 25 lutego 1984

CENA 10 ZŁ

JAK SIĘ RZĄDZI, PREZYDENCIE?

ROZMOWA Z BRONISŁAWEM POPEŁAWSKIM



Fot. Cezary Krupa

— Został pan prezydentem Lublina w dość specyficzny sposób: wybrała pana sesja MRN a premier wynik tajnego głosowania (na trzech kandydatów) zatwierdził. Było to w grudniu 1983 roku. Obejmując urząd jako prezydent za jakimś stol vox populi był pan oceniany jako „szczęściarz”, którego prace radni będą oceniać tolerancyjnie. Po prostu, że nie będzie to dla pana zbyt uciążliwe urządowanie. Jak to wygląda po roku? Jak się panu rządzi?

— Nie narzekam.

— Rozumiem, że jest pan z siebie zadowolony.

— Nie. Nie jestem z siebie zadowolony, bo to by świadczyło o głupocie politycznej i głupocie w ogóle. Ja po prostu wiedziałem, na co się godzę, i tu mogę powiedzieć, że się nie przeliczyłem. Nie oznacza to jednak, że roczna prezydentura dostarczyła mi satysfakcji i dobrego samopoczucia.

— Dlaczego?

— Zdecydowane rozczarowanie przyniosły wyniki budownictwa mieszkaniowego. Do — i tak niskiego planu — 1900 mieszkań zabrakło 252 lokali. W bieżącym roku chcieliśmy zbudować 3000 mieszkań, ale po realistycznej ocenie stanęło na liczbie 2148, w tym „poślizg” roku ubiegłego. Oznacza to, że nie będzie wykonany w tej dziedzinie plan 3-letni. To właśnie jest moim głównym rozczarowaniem, rzutującym na ocenę całości minionego roku. Nie ma sprawy ważniejszej niż mieszkania i za to nas ludzie oceniają przede wszystkim.

— Nie będę pana pytał o przyszłość: raczej o perspektywę. Czy ten kolejny plan roczny nie jest kolejną fantasmagorią?

— Wierzę, że nie. Wymaga to jednak decyzji o zwiększeniu potencjału wykonawczego na rzecz miasta. To postulujemy.

— To pańskie rozczarowanie. A przyjemniejsze momenty?

— Są. Po latach walki udało się w końcu przejąć władzę nad przedsiębiorstwami komunalnymi działającymi na jego terenie. Efekty są od razu widoczne. Wszystkie przekroczyły planowane zadania, co się dotąd od 10 lat nie zdarzyło.

— Co z tego wynika dla zwykłego lublinianina?

— Proszę pana, kto to jest „zwykły lublinianin”? Z tego może coś wynikać dla konkretnego mieszkańca. Na przykład, że został wyremontowany bu-

Dokończenie na str. 10

z notatnika

3 II. W pierwszy piątek miesiąca odbywają się zwykle zebrania naszej podstawowej organizacji partyjnej, naszej, to znaczy skupiającej członków partii z „Kamena” i lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Dzisiejsze zebranie miało przebieg szczególny: uczestniczyli w nim w charakterze gości: dyrektor naczelny FSC, Henryk Jasiński, z-ca dyrektora do spraw ekonomicznych, Szczepan Samonek oraz brygadziści, członek KC PZPR, Marian Marek. Spotkaliśmy się na krótko, ale atmosfera była nad wyraz rzeczowa. Dyrektor naczelny o sprawach reformy gospodarczej mówił ze swadą, ale i nie unikał akcentów krytycznych. W ciągu ewierwecza FSC im. Bolesława Bieruta w Lublinie dała krajowi produkcję samochodów (w cenach z 1983 r.) wartości 250 miliardów złotych, natomiast w tę gałąź fabryki zainwestowano 350 milionów złotych i ta dysproporcja bardzo niepokoi. Przeciętny pracownik FSC zarabia miesięcznie 14 355 zł, czyli o 1200 zł mniej niż wynosi średni zarobek w przemyśle uspołecznionym, ale o 655 zł więcej niż zarobek w przemyśle lubelszczyzny. W ub. roku wydajność pracy wzrosła o 12 proc., ale absencja przeciętnego pracownika wynosiła ok. 200 godzin (absencja usprawiedliwiona i nieusprawiedliwiona, a więc w tym i choroby i bumelki). Fluktuacja kadr jest znaczna: przez fabrykę od początku jej istnienia przewinęło się 71 tysięcy ludzi, czyli siedmiokrotnie więcej niż w niej obecnie pracuje. Byłych pracowników FSC można dziś spotkać dosłownie wszędzie, z górnictwem włącznie, są poszukiwanymi fachowcami, przeszli dobrą szkołę. To cieszy, ale w fabryce robi konkretne problemy. Samorządność, to też taki medal, który ma dwie strony. Z jednej strony dyrektor, z drugiej — fada pracownicza, której kadencja trwa dwa lata. Rada chciałaby się wykazać już, dyrektor musi myśleć bardziej perspektywicznie. Inwestować trzeba, owszem, ale nadmierne inwestowanie pociąga za sobą zahamowanie podwyżek płac, a to z kolei powoduje odejścia pracowników do innych zakładów.

Temat to obszerny, sądzę, że warto będzie zająć się nim szerzej i na łamach „Kamena”.

Dyrektorowi zależy na współpracy ze środowiskiem literackim, gotów ułatwiać kontakty z fabryką i ludźmi, zainteresowany jest również organizowaniem spotkań autorskich, jako że dużą uwagę poświęca problemowi humanizacji.

Po południu — drugie zebranie: podstawowa organizacja partyjna przy „Sztandarze Ludu” zaprosiła rzeczownika rządu, Jerzego Urbana, który w Lublinie spotkał się z szerszym gronem dziennikarzy. Była to bardzo szczerą rozmowa, daleka od oficjalności konferencji prasowych. Dlatego też trudno mi ją publicznie relacjonować. Niemniej takich spotkań potrzeba jak najwięcej!

Gdy mowa o „Sztandarze Ludu”... Utańczył taki zwyczaj — moim zdaniem niedobry — że prasa lubelska nie polemizuje między sobą. Z drugiej strony też mało... chwali się wzajemnie. A dzisiejszy, piątkowy, numer wydał mi się szczególnie udany. Przede wszystkim Wiesława Jankowska poruszyła kapitalny problem handlu lekami. Przychodzą pod różne adresy paczki z Zachodu i lekarstwa można nabyć na targowiskach. Ludzie eksperymentują na sobie i to przynosi tak żałosne skutki, że lekarze dostają białej gorączki. „Leki, to nie mąka kukurydziana” — słusznie ostrzega tytuł artykułu.

Z kolei Franciszek Piątkowski zajął się nakładami na kulturę. „Jeszcze w latach 1977—1979 — pisał Piątkowski — Lublin jakoś „się trzymał”, chociaż z każdym rokiem dystans zmniejszał się niepokojąco. Różnica np. pomiędzy Lublinem i Rzeszowem wynosiła w 1976 roku 13 milionów zł na korzyść Lublina, w 1979 roku już tylko 8 milionów zł, potem „wzięło się wyrównało”, a dzisiaj wynosi ona 55 milionów, ale na korzyść Rzeszowa. To prawda, że dzisiejsze miliony mają inną war-

tość. Ale 55 milionów dzisiaj wystarczy na utrzymanie porządnego teatru i jeszcze trochę zostanie. O tym trzeba wiedzieć, to trzeba wreszcie zrozumieć! I pamiętać, że w województwie lubelskim jest więcej gęb do wykarminienia, bo więcej tu mieszkańców prawie o jedną trzecią, bo więcej tu muzeów, domów kultury, świetlic, bibliotek i teatrów...”

A swoją drogą, ciekawe byłoby dociec, dlaczego to tak Lublin podupadł w centrali? Dlaczego ostatnio mamy tak małą siłę przebicia? I czy tylko jest winna sama Warszawa?

Nie mam zamiaru streszczać innych publikacji ze wspomnianego numeru, ale znajdujemy w nim interesującą, żywą, jak zwykle u tego autora, relację Waldemara Piaseckiego pt. „Poczekalnia” na temat życia w domach akademickich, a także tekst o prawosławiu Stanisława Jadczyka. Słowem cały numer jest, jak to się mówi, do czytania i każdy znajdzie w nim coś dla siebie. Znamienne, że prawie wszystkie materiały wyszły spod piór pracowników redakcji. Dawniej inaczej bywało, czyżby więc zadziały względy ekonomiczne, a dosadnie mówiąc — podwyższenie honorariów? Jak go zwal, tak go zwal, w każdym bądź razie chwałę „Sztandar”, w którym kiedyś przez lat prawie dziesięć sam pracowałem.

Piszę, że prasa lubelska nie polemizuje między sobą. Polemizm (z prawdziwego zdarzenia!) nie ma jednak prawie wcale w całej prasie polskiej. Zwraca na to uwagę felietonista „Tu i Teraz”, podpisujący się Cyryl. „Słowo dialog ma dwa oblicza: polityczny i kulturalny. Ja piszę o dialogu w kulturze, piszę o jego braku w kulturze, bo kultura wiąże mi się z polityką bardzo szczególnie. Kultura w jakimś momencie musi uznać swą osobowość, musi uznać, że jest przede

wszystkim kulturą, bo nikt się poza kulturą o to jej uznanie nie upomina. Wołanie o środek jest wołaniem o dialog — pragnienie dialogu laknieniem środka. Jeśli ktoś zawsze stał pośrodku, to dzisiejszy niemal kompletny brak dialogu, brak wymiany myśli, niedowład dyskusji, zanik sporów, polemik, ciężkich publicystycznych jatek oznacza małą wysepkę na Oceanie Spokojnym, skąd to wołanie jest już tylko głosem rozpacz i beznadziei. [...] Brak dialogu organizującego najgłębsze pióra publicystyczne, brak ożywionych otwartych polemik, sporów i zdrowej wymiany myśli przewala się na dzień dzisiejszy ogromnym cielskim manifestowanej obojętności i nietolerancji wobec wszystkiego, co trąci choćby na jotę innością. Rozumiem chłód na antypodach, wzajemną niechęć tzw. ekstremów, ale przedziwne milczenie i żal (o co?) tych, co są o pół centymetra bardziej na prawo, do tych, co wystają o centymetr bardziej na lewo, budzi szczere zdumienie. Jesteśmy społeczeństwem bardzo wyczulonym na punkcie honoru, który bierze w łeb, gdy zjawia się teraźniejszość i konstatacja, że jakoś trzeba żyć. Trzeba jakoś żyć z honorem, który (wskutek tzw. półdecyzji) zostaje poświęcony i przypomina moralny horror, bowiem i te pół centymetra w lewo czy prawo jest odmierzone na oko, a raczej z przymrużeniem oka...”

Dodałbym, że nie ma dialogu, ale pojawia się magiel. Mało było, że Zbigniew Nienacki opublikował swój tekst pt. „Passent — bierz go!” na łamach „Odgłosów”. Mało, bo tekst ów i to na pierwszej stronie zamieściła „Rzeczywistość”. Ponieważ w tym artykule pojawiła się i „Kamena”, wyraziłem swoje zdanie w poprzednim notatniku. Nie zapoznała się z nim jeszcze „Rzeczywistość”, bowiem w słowie od redakcji pisze pod artykułem Nienackiego: „...Trudno nam się opowiadać w sprawie „Kamena”, ale na ile zmiany nam jest Marek Jaworski, to można by go pozawidzieć o to, że tekst mu się raczej zawierzysz niż wstrzymał jego druk... ze strachu”.

Faktycznie, strachliwy to ja nie jestem i dlatego dopowiem, że naprawdę

szkoda w „Rzeczywistości” miejsca na tego rodzaju przesady. Wogóle już przeczytać w „Rzeczywistości” Odbromskiego, chociażby ostatni tekst „Harem”, gdzie autor głosi m. in.: „Studentki mieszkające w akademiku mówią, że [Mohammed] założył normalny arabski harem. [...] — Wynajmij wille za 500 dolarów miesięcznie — powada jedna z studentek. — Stopniowo dobieżeli sobie dziewczyny z akademikami i zebrali ich razem siedem. Może właśnie o taką liczbę mu chodziło? Co noc spał z inną, więc na każdą wypadł jeden nocny dyżur na tydzień. Można wytrzymać. Niektóre miały swoich chłopaków, dowiedział się o tym i zabronił, albo wynocha z willy. Kryły się, bo szkoda im było takiej chaty, jedzenia i drogie ubiorów. [...] Nie wierzył już im, sprowadził sobie drugiego Araba w charakterze eunucha do pilnowania dziewczyn, żeby się z nimi nie spotykały po zajęciach, w końcu ktoś mu pogrochotał kości i leży w szpitalu. Nie wiadomo, kto. Mówią, że to wypadek samochodowy, lecz nikt w to nie wierzy. Podobno interweniowali sąsiedzi, że arabskie zwyczaje w willy, że rozpusta i to oni kogoś napuścili. Podobno zdenerwował się narzeczony jednej z dziewczyn...”

Olbromski trafił do dziewcząt, które mu to i owo powiedziały.

Mimo woli zareklamowałem „Rzeczywistość”, której jeden kochanek lady już nie wystarcza. I tak pryncypia tarzają się na przeciwnościach, co ja staram się zrozumieć, bo też niekiedy i do takich tematów w „Kamenu” sięgam. Muszę to napisać, bo mi zaraz „Rzeczywistość” odparuje, że „wy drukowaliście wywiad z dewizówką”. Tak to jest: ktoś kupił pismo dla dewizówki X i przy okazji przeczytał wiersze poety Y. „Rzeczywistość” z kolei ktoś kupi dla Olbromskiego i przeczyta Pardusa. Sprzedaż wiązana, znana nie od dziś i nie tylko w prasie. Zresztą świat się chyba przewraca, bo we wspomnianym numerze „Rzeczywistości” Jerzy Pardus wyjątkowo chwali nie tylko Jana Rema, ale i Daniela Passenta. Natomiast na pierwszej stronie przedrukowuje z „Odgłosów” tekst, w którym Passent niedwuznacznie nazywany jest „redaktorkiem”. Chciałoby się napisać: nie wie lewica, co czyni prawica, ale Pardus, gdy pisze, to chyba też lewą ręką...

A swoją drogą, gdyby nie było Daniela Passenta, którego zresztą nie znam osobiście, należałoby go po prostu stworzyć. O czym by niektóre pisma rozprawiły? Z kim by polemizowały, kogo by (ewentualnie) chwaliły? No, jest jeszcze Michał Misiorny (którego znam osobiście), ale on jest pod innym obstrzałem...

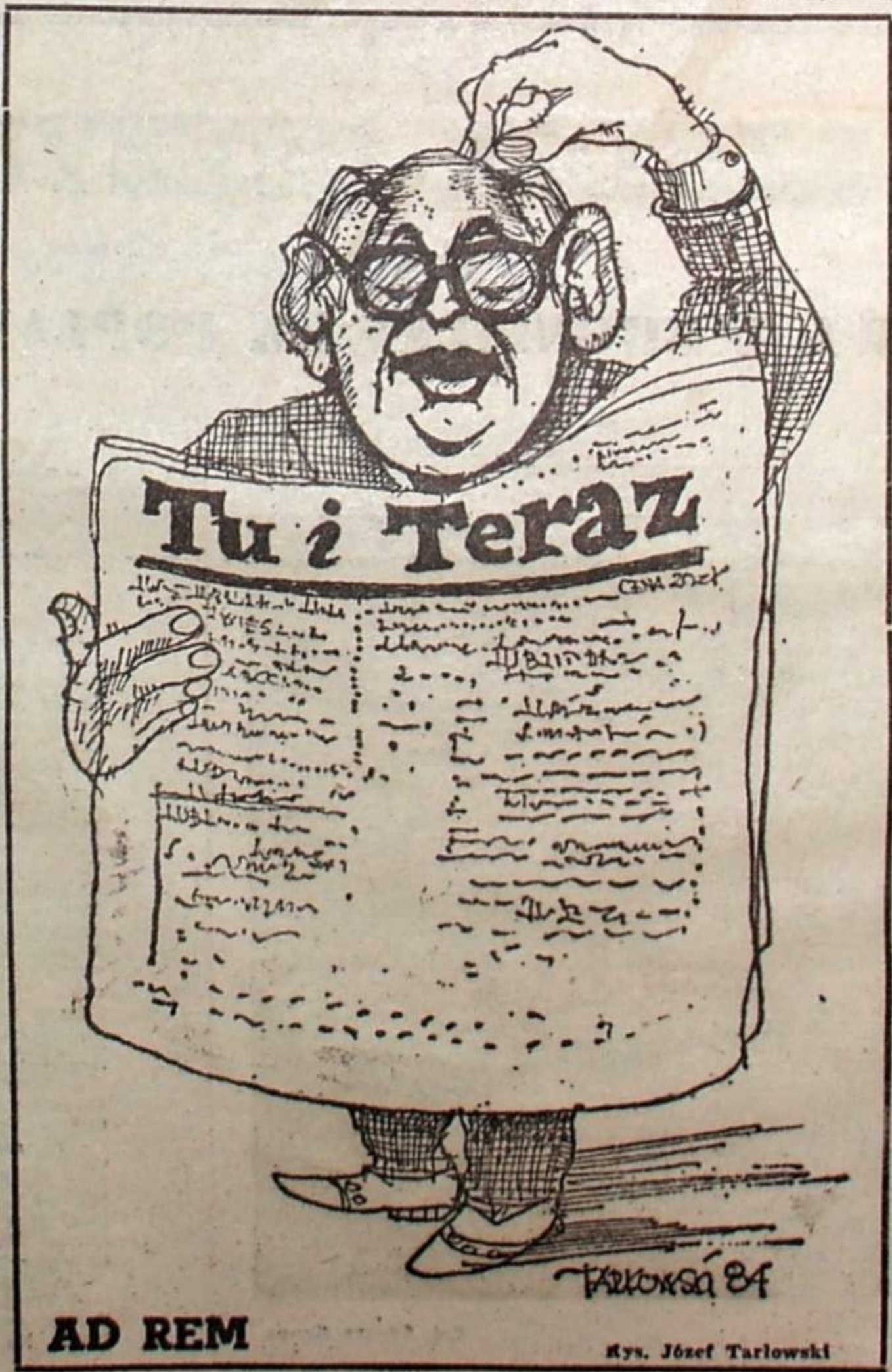
Pamiętam lata powojenne, kiedy to jeszcze ani o Passencie, ani o Misiornym, ani o Pardusie nikt nie słyszał. Ciężkie działa wytaczano wówczas przeciwko Kisielowi.

Dzisiaj rzadko kto polemizuje z Kisielem. Pisma wydawane przez RSW mają swój własny magiel, który może nie co tydzień, a co dwa bywa uruchamiany na wszystkie obroty. Czytelnik czyta widniejące nad tytułami nagłówki „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” i myśli, jak się mogą łączyć proletariusze, skoro ci, którzy usiłują ich pouczyć, sami się łączyć nie potrafią. Nie potrafią! Nie próbują nawet potrafić!

Niektórzy posiadają, że to maglowanie to jest tylko pic na wodę, fotomontaż. Co napiszą, to napiszą, ale przedtem uzgodnią to sobie przy wódce w Klubie Dziennikarza (W-wa, ul. Foksal), byle tylko był ruch w interesie!

Może i ja zaproszę do lubelskiego Klubu pod Strzechą red. Lesława Gnotta, red. Franciszka Piątkowskiego, red. Józefa Kisielewicza, red. Andrzeja Molika etc. i uzgodnimy między sobą tematy, przy których możemy się pognoczyć i passentowo i misiornie? Nie stać nas na własny, lubelski magiel?

A przydałby się taki, bo ostatni program kabaretu „Czart”, całkiem zresztą niezły, pióra Kazimierza Pawelka, jest bardziej polski niż lubelski, choć atakujący nieco jednostronnie. Znakomicie zwłaszcza Barbara Kozłowska i Zbigniew Szejman! Myślę sobie, że i tu zadziałała reforma: z takim programem można pojechać i na Śląsk i nad morze, wszędzie będą bić brawo i wszędzie będą rozumieć — może nawet inaczej niż sam autor — o co chodzi. W każdym razie Pawelek jest niezmordowany: co pisze, to nie chęć, i za to mu chwala, chociaż na orderzy raczej liczyć nie powinien...



Nie tytuł lecz wiedza

ROZMOWA Z ADIUNKTEM POLITECHNIKI LUBELSKIEJ

DR. LESZKIEM ORZECZOWSKIM

— Uczysz młodych ludzi już 13 lat. Masz wyniki?

— Skromne, ale mam. Wykształciłem czterdziestu inżynierów. Na moich zajęciach studenci nigdy nie spali. Kilku absolwentów poznałem na ulicy. Czy jestem dobrym dydaktykiem, spytaj studentów.

— Tych dwóch, którzy dzisiaj byli na twoim wykładzie?

— Po „głębokich” przemyśleniach doszedłem do wniosku, że taka frekwencja to przyzwoite minimum. Nie mogę marzyć o tym, co było przed siedmioma, ośmioma laty.

— A co wtedy było?

— Miałem komplety na zajęciach. Widziałem zainteresowanie dla tego, co mówię lub piszę, obecnie czuję tylko bierność.

— Może gorzej wykładasz?

— Sądzę, że nie. Lata praktyki robią swoje. Człowiek, chcąc nie chcąc, idzie do przodu. Problem chyba tkwi w czym innym. Zainteresowanie studiami wśród studentów jest minimalne. Chcą zrobić dyplom jak najmniejszym wysiłkiem, przeskoczyć tylko niezbędne minimum.

— Twoim zdaniem, dlaczego tak się dzieje?

— Myślę, iż studenci zdają sobie sprawę, jak trudny start czeka ich w dorosłym życiu. Żeby dobrze studiować, trzeba wierzyć że wkładany w naukę wysiłek w jakimś sensie się opłaci. Dyplom nie obecnie nie daje poza satysfakcją.

— Ty też tak uważasz?

— Jako pedagog, któremu zależy na wykształceniu kilku Polaków, chciałbym, aby włożyli oni odrobinę serca w to, co robią.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Studenci, z którymi spotykam się na co dzień, dodam, że są to przeważnie słuchacze ostatnich lat, nie wiedzą, gdzie, a często czy w ogóle, będą pracować. Nie marzą nawet o wykonywaniu wyuczonego fachu. W Lublinie o pracę dla inżyniera trudno, pracę dającą satysfakcję i pieniądze. Studenci chętnie zostają na uczelni. Dawniej był to jeden z gorszych pomysłów zawodowych. Ten, kto wymyślił takie rozwiązanie, musiał — po pierwsze — być prawdziwym zapaleńcem, po drugie — poza pracą naukową nie mógł liczyć na inne źródło szczęścia — dom,

godziwe zarobki. Teraz asystentura jest bardzo atrakcyjna robotą, bo innych miejsc pracy po prostu nie ma. Tak więc dyplom to satysfakcja i niestety bardzo szara przyszłość.

— Po co więc go zdobywać?

— Bo trzeba to mieć za sobą. Stwierdzenia tego za moimi studentami, nie argumentuję. Dziewczeta mają okazję znaleźć męża, chłopcy obronić się przed wojskiem.

— Nie próbowałeś pobudzić ich do większej aktywności?

— Nie, bo nie wiem jak. Czas przeznaczony na konsultacje spędzam z reguły samotnie. Kola naukowe interesują jednostki, na poleconą podczas zajęć ciekawą lekturę nie spojrzę nikt.

— Podobno jesteś opiekunem roku?

— Tak, ale z tego faktu nic nie wynika. Dotychczas nikt mi nie wyjaśnił, na czym to opiekuństwo ma polegać. Staram się być jak najbardziej dostępny i przystępny dla studentów. Wiedzą, gdzie mnie znaleźć, ale rzadko zaglądają. Niejednokrotnie np. w czasie przerwy w wykładzie podchodzę do nich. Próbuje nawiązać swobodną rozmowę na tematy ich interesujące. Często odnoszę wrażenie, że nie potrzebują takich kontaktów. Są przyzwyczajeni do tego, że są pozostawieni sami sobie.

— Przez kogo przyzwyczajeni?

— Nie mam pojęcia. Może przez swoich wychowawców, nauczycieli ze szkoły średniej podstawowej, a może przez rodziców?

— A może przez wychowawców ze szkoły wyższej?

— Może, zresztą na studiach się uczy, nie wychowuje.

— Skoro młodzież nie chce się uczyć, bo nie bardzo widzi przydatność dyplomu wyższej uczelni w życiu, czy nie warto by jej w jakiś sposób pomóc odnaleźć się. Co o tym myślisz?

— Na kształtowanie światopoglądu, pewnego sposobu myślenia, takich czy innych zachowań w wieku 19—24 lat jest już stanowczo za późno. Nauczyciel akademicki naprawdę niewiele może.

— Tym bardziej, że często brakuje mu chęci i autorytetu do dialogu.

— Nie wiem, czy autorytet w tym najszerzym tego słowa znaczeniu jest potrzebny na uczelni — to nie ten etap. Natomiast autorytet w sensie naukowym jest niezbędny, aby „wychowy-

wać” młodzież. A chęci? Powiem szczerze, że ja też mam ich niewiele. Wyższa uczelnia to normalny zakład pracy. Liczy się wynik produkcyjny — liczba wypuszczonych absolwentów, a nie ich jakość. Chociaż mimo wszy-

Rys. Edward Bogdański



stko wydaje mi się, że na prymusach bardziej zależy nauczycielom niż uczniom.

— Zatrzymajmy się chwilę przy tzw. autorytecie naukowym, z którego, moim zdaniem, mniej lub bardziej bezpośrednio wypływa autorytet pracownika naukowego jako człowieka.

— Studenci cenią tytuł, sposób prowadzenia zajęć, obiektywność ocen, kulturę osobistą.

— Nie do rzadkości należą przypadki, że ten czy tamten pan, poza tytułem, niczym więcej nie zasługuje sobie na to, by mu się kłaniać. No może jeszcze wiek każde zdjąć czapkę.

— Zgoda. Wprawdzie odrobinę mogę skrzywdzić moich kolegów, ale muszę przyznać, że wielu z nich oczekuje od studentów takiej postawy, której sami, w minimalnym stopniu, nie repre-

zentują. Nauczyciele akademicy bardzo często chcą pokazać studentom swoją wyższość. Upokarzają ich, lekceważą, oo oroztu mają za nic. Myślę, że jedna z głównych przyczyn takiego stosunku jest pochodzenie tych ludzi. Wyszli oni przeważnie z rodzin chłopskich lub robotniczych i wieloletnie kompleksy znalazły prymitywne ujście. Pan magister czy doktor zdaje sobie sprawę, iż zajmuje stanowisko, które, jego zdaniem, pozwala mu na wiele. Nie potrafi zrozumieć, że swoim zachowaniem wystawia złe świadectwo sobie i uczelni. A poza tym już tak na marginesie powiem iż dobór pracowników uczelni w obecnych czasach jest zupełnie przypadkowy.

— Student nie bardzo chce studiować. Trzeba go zachęcić bo ci którzy mogliby to robić albo nie potrafili albo nie chcą albo swoją osobą reprezentują tak niewiele, że w ogóle nie ma o czym mówić.

— Nie dajmy się zwariować i przynajmniej na potrzeby naszej rozmowy zbudujmy konstrukcję idealną. W kra-

ju musi nastąpić sytuacja, gdy magister lub inżynier będzie ceniony nie za tytuł, ale za to co umie. Wówczas nikt nikogo nie będzie musiał do niczego namawiać inspirować. Wiąże się z tym rola nauczyciela, który będzie zmuszony do maksymalnego wysiłku. Żąda od niego tego student, oczekujący na porcję rzetelnie podanej wiedzy. Oczywiście kultury osobistej nie nauczą żadne mechanizmy. Konkludując...

— ...konkludując: pracownicy naukowci to zwykli urzędnicy, zatłuwający niezbyt nachałnych petentów-studentów, a wszystko to dzieje się w uczelni-biurze Zgoda?

— Zgoda.

— Dziękuję za rozmowę, chociaż nie była zbyt krzepiąca.

Rozmawiał: Artur Borkowski

Rybacki dalekomorscy (2)

KOLYSZE ocean kręca się szpilem wiatrów trawnych dymi komin mączkarni. Dzień jak co dzień. Czasem dmuchnie mocniej wtoczy się po ślipie fala nakryje szumiącą bielą rybaków pokładu. Zaciśnięte usta, czujne oczy. Chwycić ciężką szeklą zwolnić śrubę odskoczyć zanim napięte liny skrzyżują się jak ostrza wielkich noży. W kuchni pełna koncentracja przy bulgoczących kottach w mesach polowanie na zwiewające z talerzy koltety.

Gdy eicho i spokojnie można w wolnych chwilach poleżać na pokładzie pogapić się na figlujące delfiny. Wykorzystują dobrą pogodę kapitanowie i łamiąc przepisy przeprowadzają tzw. transakcje. Jednemu ze statków kończy się mąka a inny ma jej dużo. Ten porwał siatki a tamten ma kilka zapasowych. Tu trzeba coś pożyczyć, a tam oddać. Uzgodniony przez ukafki termin — i zainteresowane statki zbierają się na umówionej pozycji. Zgodnie z przepisami o ratownictwie morskim szalupy mogą być wykorzystane wyłącznie w celach ratunkowych. Ale życie jest życiem i kilka szalup baraszkuje na wodzie. Ta wiezie pomarańcze tamta kolektor silnika w tej jest mleko i cukier a w innej proszki i mydła. Przy okazji wymieniana się zestawami filmów a wybrańcy losu otrzymują listy.

Mijają dni, tygodnie. Zbliża się trze-

ci miesiąc rejsu, pora na rekreację. Radzik odebrał depeszę ze zgodą armatora na zawinięcie do portu. Sprzątanie statku strzyżenie, prasowanie. Ochmistrz przyjmuje zamówienia na dewizowe zaliczki. Płyniemy do argentyńskiego Puerto Madry. Widać już ląd. Wreszcie coś co się nie hušta. Przy długim kamiennym moście stoi jakiś Panamezyk za nim dwa polskie trawlerzy.

Cholerne wody

Janusz Perzyński

Kapitan przyjmuje przedstawicieli miejscowych władz, fotograf pstryka zdjęcia potrzebne do przepustek. Otrzymują olbrzymią identyty card. Jest moja podobizna w stylu naszych „pięciominutowek” i odciski dziesięciu palców. Wśród danych personalnych informację, że jestem jeśli idzie o profesję — doctor, a o kolor skóry — white, a także ważna uwaga, że potrafię czytać i pisać.

Kamiennym pomostem schodzimy na ląd. Tuż przy zalanej teraz wodami przyplwy plaży leży na boku rdze-

więjący kadłub greckiego trawlera. Nie zmieścił się w wąskim torze, zaczepił o mieliznę reszty dokonały fale przyboju. Między nadbudówkami pokładu nurkuje wąsata foka. Kamiennista drogą idziemy wzdłuż basenu do odległego o kilka kilometrów miasta. Niemilosierne praży słońce przejeżdżające samochody wzbijają tumany kurzu. Po horyzont zieleńią się wyblakłe pampasy. Mijają sklecone z desek i płytów tektury budy. Na rozwieszonych sznurach suszy się bielizna, gromady dzieciaków patrzą ciekawie

lato. Wkrótce ściągają tu tysiące wczasowiczów, zapelniają się hotele i pensjonaty, spragnieni kąpieli w oceanie turyści obudzą drzemiaczy jeszcze kurort. Zawiedzeni przeklinanym mañana, rybacy okupują czynne na szczęście bary. Jest zimna coca-cola i seven up, są także płyny o zupełnie przeciwnym działaniu. Mimo że pot zalewa oczy, znajdują się zwolennicy czegoś na rozgrzewkę. Wola, gdy podłoga przypomina kołyszący ookrład. Oł, rybackie przyzwyczajenie. Toczają się, podpierane pantomimą, swoiste dialogi.

— Señor, una refresco whisky, please. O key?

— Śmieją się sympatyczni kelnerzy, w lot chwytają sens zamówienia.

— Si amigo. Polaco good, Boniek very good, Młynarczyk o key!

Przyjemnie jest w Puerto Madry. Można wypić i pogadać. Po południu cofa się ocean, więc szeroką plażą wraca bractwo na statek. Z zardzością słuchają opowieści dyżurni wachtowi. Jutro oni ruszą na swoją rekreację.

Kapitan zatłwił z agentem wycieczkę do innego miasta. Po dwóch dniach autokary wiozą nas wijącą się wśród pampasów szosą do odległego o 40 kilometrów Trelew. Tu można już coś kupić. Wędrowni od sklepu do sklepu,

Dokończenie na str. 9

Kadry. Juliusz Poniatowski. Eugeniusz Kwiatkowski

Czesław Bobrowski

W CIAGU kilkunastu lat od odzyskania niepodległości międzywojenna Polska potrafiła stworzyć kadry nowe, jakżeż odmienne od tego, czym dysponowała na początku, kiedy siłą rzeczy musiała opierać się na austriackich urzędnikach i przypadkowych dyktantach. Nowe pokolenie, wyszkolone już po wojnie w polskich wyższych uczelniach, stało się podstawową bazą rekrutacyjną średnich i wyższych urzędników administracji państwowej, samorządowej itd. W przemyśle pojawiła się grupa wysoko kwalifikowanych pracowników, których Hilary Minc potrafił wykorzystywać w latach powojennych. Na jeszcze wyższych szczeblach Polska międzywojenna „dorobiła” się też kwalifikowanych i oddanych sprawie publicznej ludzi. Należał do nich m.in. Stefan Starzyński, który jako prezydent miasta Warszawy wykazał szeroki horyzont i niezwykle talent organizacyjny, Leon Barański — dyrektor naczelny Banku Polskiego, który był nie tylko człowiekiem utalentowanym, ale odważnym i niezależnym. Kiedyś w rozmowie powiedział mi: „Potrafię kierować Bankiem Emisyjnym w każdym ustroju i w każdych warunkach z jednym wyjątkiem: potężnych wpływów ziemiańskich”. [...]

Gorzej, a nawet bardzo źle, było na szczeblu decydenckim. Jałkowiek by się oceniało rolę polityczną poszczególnych ludzi, wolno stwierdzić, że wśród polityków sanacyjnych było kilka indywidualności — Beck, Sławek, Bartel, natomiast wśród ministrów gospodarczych, od czasu odejścia Władysława Grabskiego do chwili pojawienia się Eugeniusza Kwiatkowskiego i Juliusza Poniatowskiego, nie było nikogo na przynajmniej poprawnym poziomie, nie mówiąc już o poprzednikach Poniatowskiego: „wileńskim żubr” Niezabytkowski i weterynarzu Nakoniecznikoff-Klukowskim. W Ministerstwie Przemysłu i Handlu nie było lepiej. Po odejściu Kwiatkowskiego ministrem został generał Zarzycki, z zawodu nauczyciel galicyjski, który ośmieszył się książeczką *savoir vivre*’u oficerskiego, zalecającą oficerom niższych stopni noszenie papierosnicy srebrnej lancy, a wyższych — srebrnej kutej. Produktem jego dobrych chęci był projekt stymulowania eksportu przez promiowanie od dodatniego salda niektórych urzędników ministerstwa.

Gdyby termin „pistolet” na określenie cech charakteru był już wówczas znany, tak należałoby nazwać ministra majora Florjana Rajchmana. Jedną z jego kaprańskich decyzji bardzo mi się przydała: nie mogłem dojść do uzgodnienia ważnych spraw z przemysłem olejarskim (Unilever-Schicht) aż do dnia, a ściślej nocy, kiedy minister zarządził, że uczestnikom oddzielnej konferencji nie wolno opuścić gmachu ministerstwa przed podpisaniem protokołu. Dyrektor pulkownik Kandel zdołał telefonicznie uzyskać zgodę jedynie na godzinne wyjście w celu zjedzenia kolacji... [...]

Na tym tle wyróżniali się korzystnie dwaj niepodobni do siebie ludzie, obaj dużego, formatu — Eugeniusz Kwiatkowski i Juliusz Poniatowski. Obaj mieli solidne wykształcenie zawodowe i poważne doświadczenia praktyczne. Obaj służyli w Legionach, ale już tu zaprzeczyla się pewna różnica, a potem drogi ich się wyraźnie rozeszły. Sierżant 6-go pułku Legionów Juliusz Poniatowski odegrał dużą rolę w POW, współdziałał w stworzeniu lewicowej partii chłopskiej — PSL „Wyzwolenie” i w przeprowadzeniu ustawy o reformie rolnej. Dwukrotnie był ministrem, a następnie wicemarszałkiem Sejmu. Wszystko to skończyło się po przewrocie majowym. Poniatowskiemu trudno było walczyć z Piłsudskim i przejść do opozycji, ale nie mógł i nie chciał uczestniczyć w obozie rządowym (nie wystąpił ani do BBWR, ani do OZON-u). Encyklopedia Powszechna PWN, nazwijmy Juliusza Poniatowskiego bliskim współpracownikiem Piłsudskiego, uprasza sprawę: Istniały niewątpliwie silne więzi emocjonalne ze strony Poniatowskiego i zapewne szacunek ze strony Piłsudskiego, ale nie więcej.

Wrażliwy na ułański styl bycia Wieniawy-Długoszewskiego, Piłsudski mówił podobno o Poniatowskim: „Kiedy ta gromnica wejdzie do pokoju, to robi się ciemno”. Po przewrocie majowym Poniatowski, pomimo nalegań, na siedem lat wycofał się z życia publicznego, kierując Liceum Krzemienieckim, które w dzisiejszym języku można by określić jako oibryzm kombinat szkolny i leśno-rolny. Decyzja powołania go na stanowisko ministra rolnictwa i reform rolnych oraz jego zgoda na to były oparte na nieporozumieniu (skądinąd nie żałuję tego nieporozumienia). Strona rządowa liczyła na pewien atut polityczny w stosunku do organizacji chłopskich, Poniatowski — na szersze, niż to się miało okazać, możliwości działania. Z politycznego punktu widzenia Poniatowski nie stał się znaczącą kartą: stosunki między rządem a Stronnictwem Ludowym, które po Brześciu przeszło ewolucję

Po siedmiu latach pobytu na emigracji, podczas którego Poniatowski niekiedy zajmował stanowisko wyraźnie niechętnie wobec przemian w PRL, decyzja ta nie była łatwa. Zwłaszcza że był on człowiekiem wiernym zasadom i przyjaźniom. Ale z drugiej strony nie była tak trudna, jak by można sądzić z pozoru. Za granicą Poniatowski czuł się źle. Zarówno we Francji, gdzie spędził ostatnie lata emigracji, jak i w środowisku, z którym przyszedł do Polski, z którym przyszedł do Polski spotykał. W Instytucie Nauk Politycznych pracował za groszowe wynagrodzenie jako „wyrobnik intelektualny”. Mówiono o nim z czułym humorem, iż naprawdę obchodził go tylko polski chłop i to pod warunkiem, że ma mniej niż sześć hektarów.

Adaptacja do nowej rzeczywistości w Polsce odbyła się łatwo i szybko — spotkało go na wszystkich szczeblach wiele gestów pełnych elegancji. Pierwszy miał miejsce już na Dworcu Głównym



Juliusz Poniatowski w okresie międzywojennym.

prowadzącą aż do Centrolewu, były zbyt niechętnie, aby jedna osoba mogła tu zaważyć. Zresztą centralną rolę w Stronnictwie Ludowym odgrywali raczej niechętni Poniatowskiemu piasłowcy, niż związani z nim kiedyś współpracownicy „Wyzwolenia”. W dalszej fazie koncepcja zjedynienia chłopów uległa zmianie — magnesem miała się stać (lecz się nie stała) osoba marszałka Rydza-Smigłego.

Poniatowski zyskał trwałe poparcie prezydenta Mościckiego, w związku z czym zaliczano go do tzw. grupy Zamkowej, ale waga tego poparcia malała przy wzroście pozycji i wpływów Rydza-Smigłego. Potencjalni sojusznicy Poniatowskiego, tzw. naprawicze, czyli członkowie Związku Naprawy Rzeczypospolitej, grupującego lewe skrzydło piłsudczyków, stracili na znaczeniu, podobnie jak ci z pulkowników, którzy kiedyś należeli do „Wyzwolenia” (premierostwo Zyndrama Kościalskiego skończyło się przedko). Stopniowo natomiast, ale systematycznie narastały wpływy „kompleksu ziemiańsko-wojskowego”. W ostatnim okresie przed wojną Poniatowski był już właściwie czymś w rodzaju bezpartyjnego fachowca, a nie wpływowego członka rządu. [...]

Wojna przecięła wszystko, ale i bez niej perspektywy realizacji długofalowego programu Poniatowskiego nie przedstawiałyby się optymistycznie.

Tyle o Juliuszu Poniatowskim jako działaczu publicznym; wydaje mi się jednak niezbędne powiedzieć więcej o jego nieprzeciętnej, może nieco anachronicznej, ale pełnej uroku i wręczającej szacunek osobowości. Pana Juliusza znałem nie tylko z ministerstwa, spotkałem go już po kampanii wrześniowej w Rumunii, a w kilka lat potem w Paryżu. Niemal odruchowo usiłowałem nawiązać z nim kontakt, podkreślając, że mój wyjazd z Polski nie oznacza podjęcia się pod postawami emigracyjnej opozycji. Niespodziewanie dla mnie Poniatowski odmówił spotkania i minęło parę miesięcy, zanim otrzymałem drugi list, przekreślający poprzednie stanowisko, w którym tkwiło potępienie działalności w kraju. Była to oznaka ewolucji, która miała się zakończyć powrotem Poniatowskiego do pałacu w Warszawie.

nym w Warszawie. Z wagonu trzeciej klasy pociągu Paryż — Warszawa wysiadł skromny i skromnie ubrany starszy pan. Oprócz przyjaciół oczekiwał go dwuzereg umundurowanych kolejarzy, którzy jakoś dowiedzieli się o jego przyjeździe. Z całą życzliwością przyjęła go administracja — nawet w sprawie mieszkania. Bez trudu też znalazł pracę w PAN i SGGW — było to tym łatwiejsze, że był minister nie pretendował do żadnego wyższego stanowiska. Wśród ekonomistów rolnych, i nie tylko rolnych, wśród młodzieży ekonomicznej, w odpowiednim wydziale KC nie szczędzono mu objawów szacunku. Zajawczy się problemami z pogranicza ekonomii i socjologii rolnictwa, niestrudzenie wędrował w wagonach trzeciej klasy po Polsce. W ostatnich latach życia główną jego troską stała się sprawa losów, a przede wszystkim możliwości kształcenia dzieci pracowników PGR. Wznowił kontakty ze znanymi mu z młodości fornalami z ojcowskiego majątku Jaszczów. Ostatnie wakacje przed śmiercią spędził u jednego z nich, nadzielenego ziemią z reformy rolnej. Za życia opiekował się biblioteką szkolną w Jaszczowie i jej przekazał swój księgozbiór. W tych związkach z Jaszczowem tkwił pewien paradoksalny element: w okresie przedwojennym pan Juliusz, uważany przez swego ojca za czarną owcę, nie miał wstępu do dworu.

Myszę, że fakty dość wyraźnie ukazywały osobowość Poniatowskiego. Równie znaczący dla tego niewytkniętego człowieka jest wybór przyjaciół w okresie przedwojennym i powojennym. Było to środowisko Marii Dąbrowskiej, intelektualnie Poniatowski stał niewątpliwie na wysokim poziomie. Jego koncepcja polityki w stosunku do wsi była czymś więcej niż troską o interes chłopów: była to propozycja do ogólnego programu rozwojowego kraju w oparciu o procesyjność kierunku produkcji, a nie o illusoryczny dopyw kapitału z zagranicą. Nie twierdź, że nie posiadała ona pewnych słabości; Poniatowski nie doceniał roli klasy robotniczej, a jego podjęte związki z młodą nomenklaturą chłopów, choć pod wieloma względami uzasadnione, stały się fatalne. Skromny, ascetyczny Poniatowski był — rzecz w nas rzadka — znakomitym orga-

nizatorem i szefem, czy raczej animatorem zespołu bliskich mu poglądami i skłonnością ludzi. Podstawę jego autorytetu stanowiły przede wszystkim osobiste wartości moralne. Wdzięku temu człowiekowi surowych zasad dodawały pewne cechy anachroniczne. Gdyby urodził się wcześniej, nadałby się do roli Judyzy.

Eugeniusza Kwiatkowskiego znałem znacznie mniej. O ile z Poniatowskim odbyłem chyba kilkadziesiąt rozmów w cztery oczy, to z Kwiatkowskim najwyżej kilkanaście: kilka przed wojną, więcej po wojnie, w okresie, gdy był pełnomocnikiem rządu, a tym samym przedstawicielem CUP, na Wybrzeżu. Po październiku 1936 r. odwiedziłem go raz w Krakowie.

Niewiele młodszy od Poniatowskiego, o wiele później wziął aktywny udział w życiu politycznym. Formalnie nastąpiło to w roku 1926, kiedy został wybrany posłem z listy BBWR, ale nie wyróżniał się jeszcze w tym zespole. W dwa lata później jego rola jako ministra przemysłu i handlu wzrosła znakomicie. Trzeba jednak pamiętać, że w gabinecie Piłsudskiego tylko niewielu ministrów liczyło się jako osobowości polityczne — Kwiatkowski był przede wszystkim ministrem fachowym. Jego pierwszoplanowa rola w polityce gospodarczej i znaczna w polityce ogólnej ogranicza się raczej do drugiej połowy trzydziestolecia.

Adaptacja do warunków PRL u Kwiatkowskiego nie wypadła szczęśliwie. Władzom niewątpliwie zależało na nim, choćby z racji jego wczesnego powrotu do kraju z Rumunii. Hilary Minc miał dla Kwiatkowskiego duży osobisty szacunek, w czym zapewne nie miała rolę odegrał okres pracy w gabinecie wicepremiera przed wojną. Z pozoru stanowisko, które Kwiatkowskiemu powierzono, otwierało przed nim szerokie pole działalności (dodatkowym elementem o mniejszym znaczeniu było to, że zważywszy na jego autorytet, nie powołano na Wybrzeżu delegata Centralnego Urzędu Planowania, licząc na jego osobę). W praktyce jednak sprawy nie przebiegły dobrze: trochę ze względu na ustawienie pełnomocnika rządu na Wybrzeżu poza normalnymi strukturami administracyjnymi, więcej — z powodów politycznych. Kwiatkowski zbliżył się do PPS — nie na tyle, by stać się jego członkiem, ale dostatecznie, by wzbudzić nieufność wśród lokalnych działaczy PPR. Wyczerpania polityczne w niedługim czasie położyły kres funkcjom i roli publicznej Kwiatkowskiego — odtąd zajął się pracą naukową. Podczas moich odwiedzin w Krakowie nie dostrzegłem u niego chęci uaktywnienia się. Opowiadał mi, że na czyjeś pytanie, czy nie zechciałby przyjąć funkcji ministra przemysłu chemicznego, Kwiatkowski podobno powiedział: „Umieć zrobić jajecznicę z jajek, ale nie umiem zrobić jajek z jajecznic”. W powiedzeniu tym trzeba chyba widzieć nie tylko surową ocenę stanu przemysłu chemicznego, ale także przejaw rozgorzyczenia zbliżającego się do siedemdziesiątki człowieka, któremu od wybuchu wojny los nie pozwolił działać na miarę jego możliwości.

Oceny przedwojennej działalności Eugeniusza Kwiatkowskiego wydadają mi się nie zawsze ostatecznie wyważone. Jedni słusznie widzą w nim rzeczywistego twórcę Gdyni i aktywnej polityki morskiej, inni przypominają, że już uchwała sejmowa z lat dwudziestych przewidywała budowę portu gdyńskiego i że Kwiatkowski wcielił po prostu wcześniejszą koncepcję. To prawda, ale wcielił ją z rozmachem, talentem organizacyjnym i imponującymi rezultatami. Kiedy obejmował Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Gdynia była jeszcze pałoczątkową dziurą, gdy z ministerstwa odchodził, było to już przeszło trzydzieści lat. W tym czasie, które do wybuchu wojny minęło się rozrosnąć do niewiele mniejszego niż dziś rozmiaru. Ponadto w okresie sprawowania przez niego urzędu ministra przemysłu i handlu wygrana została wojna cenowa z Niemcami, stworzony został nowy urząd centralny, który zdołał przetrwać jego niedoletne następców i rozpoczął pionierskie próby rozwoju przemysłu maszynowego. Z tym wszystkim jednak istotnie Kwiatkowski w pierwszym okresie

działalności publicznej był tylko znakomitym ministrem resortowym. Prawdziwego wymiaru nabrał w okresie sprawowania funkcji wicepremiera.

Oczywiście podstawowym elementem dorobku Kwiatkowskiego — trwałym śladem, który pozostał w gospodarce polskiej — jest Centralny Okręg Przemysłowy. Jeden z historyków podkreślił w ostatnich latach, że liczba miejsc pracy stworzonych w COP-ie wynosiła tylko 110 tys. Jest to prezentyzm — na lata przedwojenne było to bardzo dużo, zwłaszcza jeśli odniesiemy to nie do całego kraju, lecz do pięciu milionów mieszkańców objętych COP-em. Prawdą jest że nie wszystkie zakłady zostały zakończone przed wybuchem wojny, ale to przypadek losowy. Natomiast prawdą też jest, że niektóre z zakładów copowskich, jak choćby Stalowa Wola, należą dziś do czołówki przemysłu polskiego. Sam proces inwestowania znakomicie poprawił sytuację miejscowej ludności rolniczej, zarabiającej jako wozacy, niewykwalifikowani robotnicy budowlani itp. Na pewno ważki jest także wpływ COP-u na procesy psychologiczne w społeczeństwie, które zrozumiało wyraźnie, że coś naprawdę się dzieje, że istnieją nie wykorzystywane dotychczas możliwości przyspieszenia rozwoju kraju. [...]

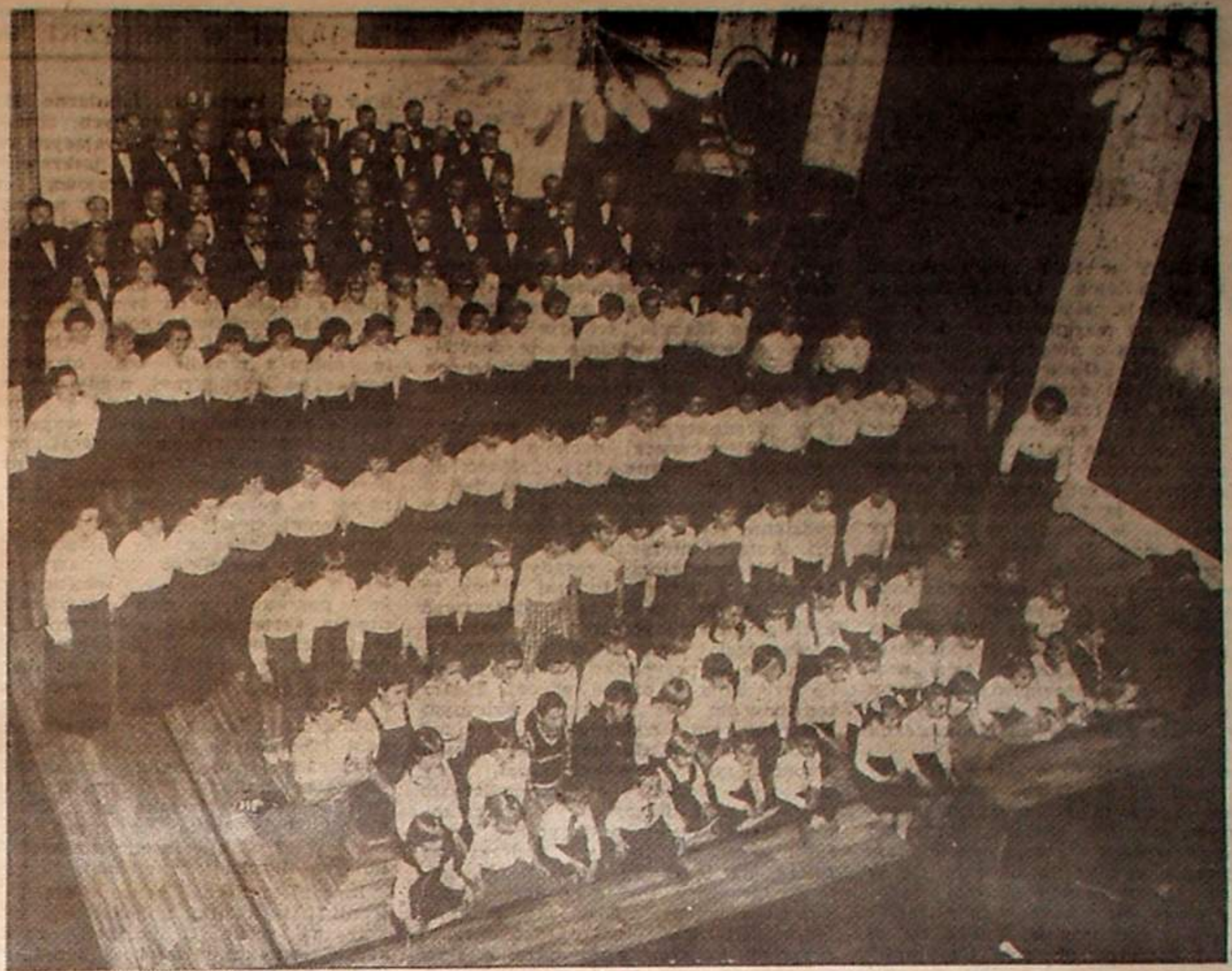
Nasuwa mi się tu kilka refleksji dotyczących osobowości i sposobu myślenia Kwiatkowskiego. Jak większość ludzi, którzy zdobywali ostrogi w praktycznej działalności przemysłowej, mając za sobą studia techniczne, Kwiatkowski widział gospodarkę nie jako procesy i ich związki, lecz jako konkretne akcje, konkretne inwestycje. Pod pewnym względem umysł Kwiatkowskiego wykroczył jednak poza tak scharakteryzowane ramy. Mam na myśli to, co można by nazwać wyobraźnią przestrzenną. Zarówno Gdynia jak i COP są produktami tej wyobraźni, jeśli zaś chodzi o analizę ekonomiczną, to wprowadzenie w „Dysproporcjach” pojęcia Polski A i B stanowiło nowy, doniosły wkład do polskiej myśli polityczno-gospodarczej. Wydawało mi się, i wydaje nadal, że w gruncie rzeczy, mówiąc o planowaniu i budując plany inwestycyjne, Kwiatkowski niepomnie, lepiej widział wymiar „przestrzeni” niż wymiar „czasu”. W tym sensie nie bardzo mogę się zgodzić z historykami, którzy usiłują dopatrzeć się w Kwiatkowskim (a również w grupie „Gospodarki Narodowej”) prekursora planowania. Planowanie to bardziej rozległe pojęcie. [...]

Niektórzy zarzucają, że Kwiatkowski odrzucił projekt dewaluacji złotego — dziś przyznając mu rację, nie musimy stwierdzać, że w latach trzydziestych nie miałem w tej sprawie wyrażonego zdania. Co natomiast jest niewątpliwie, to fakt, że Kwiatkowski odrzucił politykę bierności wobec procesów rozwoju i budowy masowego dopływu kapitału zagranicznego. Oczywiście nie wszystkim się to podobało, ale społeczeństwo odczuło, że pojawił się nowy nurt, którego materialnym wyrazem był COP. Na tym też wyrosła duża popularność Kwiatkowskiego w szerokim kręgu społecznym. Kiedy przed wojną zaczęto się mówić o potrzebie rządu koalicyjnego, naturalnym kandydatem na premiera był dla poważnego odłam społeczeństwa Eugeniusz Kwiatkowski.

Czy tak samo było, jeśli chodzi o sily polityczne? N. pewno nie. Wyrazne poparcie wicepremiera mogli mieć tylko ze strony miejscowego i tzw. grupy Zamkowej, natomiast wśród starych pilsudczyków było wiele niechęci. Dopódy tego na przykład w jednej ze swych publikacji Pobjog-Malinowski, który skwapliwie podkreśla wielkie ambicje Kwiatkowskiego. Sprawa, w gruncie rzeczy była bezprzedmiotowa, ponieważ koncepcji rządu koalicyjnego obóz rządowy nie przyjąłby w żadnym wypadku. O ile imputowanie Kwiatkowskiemu szczególnej żądzy władzy jest bzdurą, o tyle prawdą jest, że był to człowiek mający mocne i uzasadnione poczucie swojej wartości, a gdyby nie miał ambicji nie zajmowałby się polityką. Był to człowiek zręczny, jeśli Poniatowski nie umiał, to chciał paktować z przeciwnikami, to Kwiatkowski w tym celował, zyskując na przykład wyraźne poparcie wojska i nie zrażając sfer wielkoprzemysłowych. [...]

Wielu ludzi do wybuchu wojny sądziło, że Kwiatkowski odgrywać będzie w kraju rosnącą rolę. Niezależnie od takich czy innych zastrzeżeń co do fragmentów jego polityki, uważano go niemal powszechnie za działacza gospodarczego dużego formatu. Byłem również tego zdania i nie zmieniłem go do dziś.

(cdn.)



Fot. Tymoteusz Grudziń

Jubileusz chóru „Echo”

KTO SPIEWA

TEN MODLI SIĘ DWA RAZY

Anna Bocian

SA ludzie, których słon trzepnął w ucho i nie są to ludzie zupełnie szczęśliwi, gdyż nie potrafią śpiewać. Za to śni im się czasami, że biorą czyste i wysokie tony jak Himalaje w słońcu, aria za arią, perli im się i bije z gardła szampańskimi fontannami. Jest to wspaniałomyślność podświadomości, lecz sny są krótkie, a rzeczywistość szara. Co wtedy?

Wiadomo, wtedy puszcza się ulubioną taśmę z Pauliem McCartneym lub z wideokasety kolejny odcinek „Historii muzyki rozrywkowej”. Użycie wideokasety jest równie abstrakcyjne, jak nieskrepowana radość amerykańskich kompozytorów produkujących szlagier za szlagierem, wpadający nawet w przydepane ucho. Ale jak się nie ma choćby odesranego z audycji radiowej McCartneya — co wtedy?

Wtedy, żeby oddać widmo nieuchronnego fałszowania w wannie, można zafac się analiza porównawcza sytuacji w muzyce rozrywkowej u nas i za granicami. Kto się bardziej bawi, kiedy się bawi i dlaczego bardziej się bawi? Co bawi tego, który bawi oraz tego, który z nim się bawi? A właściwie dlaczego tak lubimy bawić się kimś bawie się krytykując np. śmiešność stroju czy brak urody solisty. Wreszcie musi pojawić się nieuchronne pytanie: co mnie bawi, kiedy mam pisać felieton o Towarzystwie Śpiewaczym „Echo”, które obchodziło właśnie pięćdziesięciolecie nieprzerwanego istnienia? Dlaczego zawsze dostaje czkawki w filharmonii, pekam ze śmiechu, gdy zobaczę odstawionego tenora, wyszpanowanego pół kroku w wykroku, z ceremonialnie złożonymi rekami — zanim zaryczy jak zraniony koń?

Otóż nie mnie nie bawi, chociaż prezes Towarzystwa, Janusz Madejski, tak nie toleruje muzyki popularnej, jak ja pieśni operowych. Niech mu będzie, ponieważ jubileusz jest okolicznością łagodzącą, a ja i tak nigdy nie uszanuję piękna na koturnie pozbawionego wdzięku i swobody. Ale nie będę też zbywać żartem pięćdziesięciu pięciu lat śpiewania, bo jeżeli dwieście osób rok po roku przychodzi trzy razy w tygodniu, żeby śpiewać w uniesieniu i wzruszeniu, to może coś w tym jest. Sama zresztą chciałabym wiedzieć co. Pan prezes powiedział, że dźwięki są dla niego jak literatura i tu podał przykład ogladanego w Sofii „Nabucco” Verdiego, podczas którego, gdy śpiewa chór niewolników, widownia wstaje i płacze. W porządku. Ale dlaczego, panie prezesie mamy wypowiadać się głównie śpiewem wyrwijającym jęła przez gardło i rozwijającym je po kandelabrach? Dajmy pożyte wielbicielem „Perfektu”, choć kto musi do opery, ten widać musi.

Tu przyszła pora na bezsporne uznanie dla „Echa”, które śpiewa całe opery. Na jubileuszowym koncercie, ze względu na patrona Towarzystwa — Moniuszkę — odśpiewano oczywiście „Halke”. Jak twierdzi dyrektor Filharmonii Lubelskiej, Adam Natanek, mazur ze „Straszego dworu” w wykonaniu „Echa” jest niedościgniony w Polsce. Zagwarantowała to pełna paleta dźwięków,

jaką dysponują członkowie chóru, których — począwszy od kelnerki a skończywszy na naukowcach — łączy potrzeba śpiewania. Podobno, kto raz w nim zasmakuje — śpiewa do śmierci. Ba, wciąż śpiewa jeszcze ostatni z założycieli „Echa”.

Oprócz oper w repertuarze chóru znajduje się muzyka dawna, współczesna, ludowa i patriotyczna. Prezes Towarzystwa wyznał, że dzieli muzykę na piękną, czyli pięknie skomponowaną i przepięknie wykonaną oraz całą resztę, czyli muzykę popularną. Zławsza ta reprezentowana w Telewizyjnej Liście Przebojów jest tego zdaniem plamą na kulturze i wynikiem braku muzycznego uwarżliwienia od kolebki. Natomiast chórystów „Echa” można już uznać za garstkę społeczeństwa przyszości. Znaczą to, że kiedy wyjdziemy z kryzysu i będzie nam dobrze, ale nudno w luksusach, każdy zacznie rozwijać swoje zainteresowania, na które teraz nie ma czasu. „Echo” jest do tej przyszości przygotowane, adwż w ramach Towarzystwa śpiewa chór męski, żeński i dziecięcy, powstaje chór męsko-chłopięcy i żeńsko-dziewięcy oraz chór kameralny. Uprawiając sztukę muzyczną nieprofesjonalnie, „Echo” łączy przyjemności płynące z samego śpiewu, a także ze splendoru, jakim jest otaczane w kraju i za granicą. Jest to chór ambasadorski, bywały w Europie i oklaskiwany na liczących się festiwalach. Więc właściwie nie ma się czego czeplić. Śpiewa wszystko, stosownie do okazji. Nie zaskoczyło go sympozjum poświęcone zagładzie Żydów lubelskich — zaśpiewał pieśń obozu śmierci Treblinka, ani odsiecz wiedeńska hucznie obchodzona, go nie zaskoczyła ani koledowanie po kościołach, ani żadna uroczystość państwa.

I być może tylko profan bez słuchu i głosu oraz muzycznego otrzaskania nie docenia wielkiego śpiewu. Zapewne trudno wymagać od ślepego, żeby znał się na kolorach. Za to bezsporny jest fakt trwania i rozkwitu chóru „Echo”, który ma swoich rozanielonych sympatyków i to zapewne wierniejszych od wielbicielek elektro-nicznego rocka. Zresztą, kto śpiewa, ten modli się dwa razy — piszą po kościołach. Kt. śpiewa, ten jest dobry, a na pewno dużo lepszy od skrzyplatego niepewnym dyszkantem malkontenta, który chciałby pięknie śpiewać i być dumnym ze swojego głosu a nawet podpisywać się koloraturami, których nie wymaga uprawianie pop-music. A teraz bardzo przepraszam pana prezesa Madejskiego za jubileuszowe dokuczanie i zapewniam, że zawiść jest najwęższą formą uznania a jak fałszuje — może ra-świadczyć najbliższa rodzina i paru okazjonalnych świadków.

Między rzeczywistością a jej artystyczną kreacją

KIEDY w 1968 roku ukazała się kolejna książka Bogdana Madeja „Konstelacja”, tak pisał na marginesie tej powieści Henryk Berezka o dotychczasowym dorobku pisarza: „Opowiadania Bogdana Madeja „Młodzi dorośli ludzie” (1964) nie wzbudziły takiego zainteresowania, na jakie zasługiwały. Powieść „Uczta” (1965) nie miała już szans na to, żeby zwrócić bacniejszą uwagę na ambitnego i samodzielnego autora. Nie dlatego, że była to powieść nieinteresująca, lecz dlatego, że przy pozorach prostoty była to powieść tzw. trudna. Trudna poprzez swoją programową literacką nieefektywność, która za walor estetyczny może być poczytana tylko wtedy, gdy autora nie wypada posądzać o niepowodzenie. Trzeba być Butorem, żeby programowa nieefektywność „Odmian czasu” została uznana za estetyczny efekt. Pisarz bez rozgłosu nie może na to liczyć”.

Ten brak rozgłosu pogłębił się jeszcze bardziej w latach siedemdziesiątych, kiedy to z przyczyn pozartystycznych nie chciano Madejowi wydać kolejnego zbioru opowiadań. Ostatecznie książka ta ukazała się w Paryżu. Ale to właśnie skazała „Madeja na długą, bo blisko dziesięć lat trwającą, nieobecność książkową w kraju. I dopiero obecnie „Czytelnik” zdecydował się wydać tamten paryski zbiór opowiadań, pod nie zmienionym zresztą tytułem „Maść na szczyry”.

Wszystkie zawarte w tym tomie opowiadania pisane były w połowie lat siedemdziesiątych, w okresie nasilenia „propagandy sukcesu”. Swymi treściami odstawały one jednak wyraźnie od oficjalnych wymogów, jakie czynniki ogórne stawiały literaturze. Ale też dziś czytane już bez emocji i niezdrzewnej sensacji towarzyszącej owocowi zakazanemu, odbierane być muszą jako realistyczne opowieści o sytuacji społeczno-obyczajowej tam-

tych lat. I znowu tylko z pozoru wydawałoby się, że wartości artystyczne, jakże ważne w całym dotychczasowym piśmiennictwie Madeja, schodzą na drugi plan. A przecież właśnie one decydują o trwałości tych opowiadań, o ich zwycięstwie nad czasem, który dzieli nas od ich napisania.

W odrędnym, mimo wszystko niewiele mówiącej, nocy o pisarzu przeczytać można, iż: „Maść na szczyry” jest zbiorem opowiadań o tematyce współczesnej, ukazujących codzienne życie zwykłych szarych ludzi. Autora interesuje przede wszystkim ich mentalność, zasady moralne, zwyczaje i język. Innymi słowy to wszystko, co powinno interesować każdego powieściopisarza, co świadczy o ważności jego literackiego trudu. Jednakże w przypadku Madeja mamy do czynienia z czymś więcej. Pisarz ten bowiem jest nie tylko świetnym obserwatorem codzienności, ale też obdarzony jest słuchem absolutnym wobec języka prostych ludzi, który pod jego piórem otrzymuje czysto literacki szlif. Rzecz przy tym ciekawa, Madej unika artystycznej stylizacji, wzorem choćby Trziszki czy Pilota, na język wiejski lub też małomiasteczkowy. Pisząc ze słuchu, konstruuje równocześnie własny, odrębny język literacki, pełen wewnętrznej ekspresji poprzez wprowadzanie słów gwarowych oraz pojęć znaczeniowych jak dotąd nieprawomocnych w naszej literaturze pięknej.

A sama tematyka? Wszelkie streśczenie poszczególnych opowiadań prowadzi do banalizacji anegdoty fabularnej, gubi istotę konstrukcji utworów. Istotą bowiem prozy Madeja jest charakterystyczny klimat, wewnętrzny nastrój, język, którym posługują się jednostkowi bohaterowie. A co najważniejsze, ich myślenie, niekiedy naiwne, niekiedy cwaniackie, ukazujące jednak odmienność widzenia świata w kategoriach racji obyczajowo-moralnych.

Stąd sama anegdota fabularna daje się zredukować do ramnych, obiegowych dykteryjek, wyśmiewających czy też ukazujących w całej jasności sytuacji społeczno-obyczajowej lat siedemdziesiątych, jak to np. pojechał chłop do miasta, do fabryki, kupić cztery podkowy, a tam po wielu targach dano mu tylko trzy. Rozgoryczony rolnik stwierdziwszy, że ci miejscy znają się na tym lepiej, postanawia pozabawić konia czwartej zbędnej nogi („Podkowy”). Albo jak to chłop z zapadłej wsi otrzymuje paczkę od legendarnej, nigdy nie widzianej ciotki z Ameryki. Paczka składa się z jednej puszki wypełnionej białym proszkiem. Adresat, myśląc, że to kawa, czestuje ciotecznym darem wciśniętym sąsiadów, którzy nawet są gotowi zakładać komitet, na powitanie powracającej w rodzinne strony ofiarodawczyni. Dopiero potem kiedy wszystkich zastanawia białość i smak tej kawy, okazuje się, że puszka była jurną zawierającą prochy skremowane pośmiertnie ciotki („Pochówek”). Dopelnieniem tych opowieści o psychice i mentalności chłopca lat siedemdziesiątych jest opowiadanie „Głęboką nocą. Wałę”. Tutaj już kilka równorzędnych anegdot fabularnych posłużyło za materiał opowieści spod znaku dziadowsko-zębraczej ballady. Podobnej do utworu Tadeusza Nowaka pt. „Wniebo-głosy”. Tyle tylko, że przez swoją skrótowość, jakby esencjonalność fabularną, bardziej drapieżną.

Inaczej nieco sytuują się pełne ironii i sarkazmu opowiadania miejskie, a ściślej o ludziach dzisiejszych wielkomiejskich przedmieść. Tutaj na plan pierwszy wysuwa się cwaniactwo jakże tuzinkowych bohaterów, ich umiejętność przystosowywania się do narzuconych im sytuacji, a równocześnie zdolność zachowania własnej, może nie zawsze najciekawszej osobowości. Działają u tych bohaterów swoiste prawo mimikry. Najciekawiej ukazane to zostało w opowiadaniach „Maść na szczyry” oraz „Pan Waclaw”. W pierwszym ironicznej demaskacji poddana zostaje mentalność drobnego urzędnika, zajmującego mało znaczące miejsce kierownicze w administracji

państwowej. Ale już to stanowisko przedstawia dla niego niebywałą awans w hierarchii społecznej i jedynie pochodzenie chłopskie szafszafuje mu pożądaną rodową inteligencję. Tylko że rodową można sobie zmyślić i nawet samemu weli uwierzyć poprzez nieustanne opowieściowe powtarzanie i wzbogacanie o nowe zmyślane szczegóły.

W „Panu Waclawie” demaskacji poddane zostają zachowania inteligentów z tytułami naukowymi. Tutaj elegancki, obyty i umiejący mówić Pan Waclaw, człowiek ciemnych, acz w rękawiczkach dokonywanych interesów, występując jako domorosły adwokat zwykłego bandziorka spod przysłowiowej budki z piwem, odnosi pełny sukces nad, tylko pozornie przestrzegającymi zasad etyczno-moralnych naukowo utytułowanymi inteligentami.

Od strony anegdoty fabularnej wszystko, co ukazuje Madej, znajduje się w zasięgu naszych własnych obserwacji i doświadczeń dnia codziennego, jako że nie jest to jedynie rzeczywistość lat siedemdziesiątych, ale w ogóle naszego kraju. Madej w swoich opowieściach nadal tej rzeczywistości kształt artystyczny Zuniwersalizował poprzez literacką oprawę.

„Maść na szczyry” Madeja sytuuje się na przeciwieństwie z „Nikiformami” Edwarda Redlińskiego. Choć też i tu mamy ten sam powód narodzin. A może właśnie dlatego. I tu i tam wszystko oparte na realistycznym oglądzie rzeczywistości, tej chłopskiej, tej lumpowzkiej, małomiasteczkowej i wielkomiejskiej lat siedemdziesiątych. Ten sam absolutny słuch artysty, pozwalający przełorzyc materię faktu na materię fikcji literackiej. Tylko na zderzeniu prawdy obiektywnej z subiektywnym widzeniem powstawała i powstaje znacząca literatura. Może nie zawsze przechodząca do panteonu historii literatury, ale mimo wszystko zawsze będąca jej zaczątkiem.

Tadeusz T. Zółciński

Bogdan Madej: Maść na szczyry. Opowiadania, „Czytelnik”, Warszawa 1982.

Łoskot pustego galopu

ZAWODOWE uprawianie piśmiennictwa jest zajęciem dla strażników życia, choć częściej bywa domeną grafomanów, którzy robią sobie z galerniczego zajęcia wygodny proceder, ale i w tym przypadku nie ma czego zazdrościć. Lew Tołstoj powiedział gdzieś — bodaj w „Dzienniku” — że napisać w życiu jedną dobrą książkę aż nadto wystarcza i przeczytać jedną dobrą — także. Skąd jednak wiedzieć, która książka jest ową dobrą pośród innych? Zwłaszcza w sytuacji, kiedy „brzytwa okhamowska” coraz bardziej niemiarko działa w naszych wydawnictwach. Wyrobniicy pióra chętnie wymachują sloganem wolności twórczej, zapominając, iż prawo do wyrażania własnych myśli jedynie wtedy ma sens, o ile te własne myśli mamy. W warunkach rodzimego życia literackiego: „Najlepszą z muz. jest czasem mus”. Mus zaistnienia wszelkimi sposobami i za wszelką cenę później zaś pojawia się mus systematycznego potwierdzenia własnej obecności.

Przypadek Zbigniewa Koźmińskiego

jest dość typowy — debiutował jako poeta („Meteory” 1960), zaintrygował utworem „Pyriflegethon. Poemat antypoetycki” (1971), z czasem spróbował także prozy. Obecnie autor „Spłoszonego ptaka” (1975) wystąpił z nową próbą powieściową, w której — jak sam pisze — stara się „przedstawić wysiłek poszukiwawczy artysty na tle naszej współczesności”. Zatem rzecz traktuje o artyście, sztuce, estetyce etc. Spodziewać by się tedy należało wyrafinowania, uczy literackiej. Niestety, naiwnego czytelnika czeka niemily zawód.

Kaleka narracja i jakby szczątkowa fabuła konkurują z nieuzasadnionym nagromadzeniem banalnych konstatacji i komentarzy (sprawiających wrażenie żywcem wyjętych z gazet) do sytuacji społeczno-politycznej. Przeszkadza jawnie wymuszone, natrętne nawet, tzw. „malarzkie” widzenie rzeczywistości. Irytuje pretensjonalne popisywanie się znajomością — notabene dość powierzchowną — niektórych faktów z historii sztuki. Ograny chwyt połączenia dziennika z archaicznie sta-

tyczną narracją nie sprzyja tropieniu niuansów rzeczywistości — raz jeszcze potwierdza się, iż prawda jest procesem, a nie stanem. Pospieszna skrótowość trywializuje sylwetki bohaterów, Spiritus movens opowieści Z. Koźmińskiego cierpi niepomierne, gdyż i jego nie ominęła nagminna przypadłość polskiej prozy współczesnej — hemiatrophia faciei symptomatice.

Świadom owych niedostatków, autor serwuje na ostatniej stronie (po raz kolejny triumfuje John Osborne: „Również najgorsza książka ma swoją dobrą stronę, ostatnią”) okulek kokieteryjnych usprawiedliwień w rodzaju: „Nie sposób jest poruszyć [...] najbardziej ważnych problemów rzeczywistości, w której żyjemy przedstawić możliwość wstęchności charakterów i postaw różnych ludzi, wyrazić bez reszty swoich myśli i uczuć” czy też: „Trudne jest zdecydowanie się na określony formę...” Schematyzm sytuacyjny i sztampa leksykalna niczym z komunikatów PAP sprawia, iż wynurzeniu tym brakuje lekkości epickiego oddechu. Odrobina fantazji w literaturze — w sztuce w ogóle — jest konieczna, jak pietruszka do świeżego śledzia. W tym kontekście w odautor-skim wyznaniu: „Jeśli wreszcie utwór

ma coś nowego wnosić do sztuki, powinien być w swej artystycznej formie oryginalny” — pobrzmiwa jedynie gombrowiczowski „Łoskot Pustego Galopu”.

Z. Koźmiński swoją ostatnią książką potwierdza smutną prawdę, że człowiek XX wieku ma coraz mniejszą samoświadomość. Nie umie spojrzeć na świat abstrakcyjnie, z dystansu intelektualnego — dostrzec w sobie efektu działalności praw ogólniejszych niż jednostkowe i codzienne. Me sposób doszukuje się w jego propozycji głębi, przesłania egzystencjalnego. Zresztą z głębią trudno sobie poczynać jednoznacznie. Profesorowi Tutce, na przykład kojarzyła się ona niezmiennie z pewnym grabarzem z całówką w ręku. Całość czyta się niczym sprawozdanie kwartalne urzędnika szóstej rangi w Rosji carskiej albowiem „niekiedy, jeżeli pewne idee wyrażymy słowami — to wypadnie okropnie głupio” (F. Dostojewski — „Potulna”).

Marek T. Barański

Zbigniew Koźmiński: Przez mgłę. Wydawnictwo Lubelskie, 1982.

Trzecia strona medalu

AFORYSTYKA — podobnie zresztą, jak fraszkopisarstwo — nie cieszy się u nas specjalną estymą. Drukowana sporadycznie tylko w prasie pomiędzy różnymi „michalkami”, zda się umierać śmiercią naturalną. I oto w tej mało optymistycznej sytuacji pojawia się na rynku czytelniczemu nie lada kąsek — zbiór aforyzmów Dominika Opolskiego.

Zawsze, kiedy przychodzi mi się zmierzyć z tomem aforyzmów, mam poważne obawy przed, realnym przecieciem, ryzykiem poznawczego zniesmaczenia. Bo o ile kilka tzw. „złotych myśli”, zamieszczonych jednorazowo w gazecie, daje się strawić (bywa, że z przyjemnością), o tyle książka pełna

aforyzmów grozi obietnicą niestrawności intelektualnej, a w najlepszym przypadku niewydolnością percepcji — otumanioną — ścią gargantuicznym nadmiarem. Takie wysypisko mądrości wszelakiej bywa towarem wyjątkowo labilnym, przytłaczającym odbiorcę niczym lawina śnieżna.

W przypadku propozycji D. Opolskiego wspomniane obawy okazały się przedwczesne i tylko częściowo zasadne. Jego inteligentne „wymyślanie” nie tylko, że nie nuży przesyłem, ale — co nie mniej istotne — skłania do refleksji. Inklinacje myślicielsko-aforyzyczne odnajdujemy już we wcześniejszych poetyckich książkach autora, że przypominę chociażby taki passus. Zmiana poglądów na świat nie zmienia sta-

ta („Przechowalnia bagażu” 1980). Ostrze sarkazmu i drwiny skierowuje poeta przeciw wszelkim przejawom naszej kalekiej rzeczywistości: Gdy wmatowano nam, że żyjemy w złotym wieku — mamy do czynienia z alchemikami.

Ironia i zjadliwe szyderstwo powodowane szlachetną pasją demaskatorską nie wykluczają jednakże nuty subtelnej liryzmu. Ow immanentny liryzm sprawa niejednokrotnie, iż aforystyka D. Opolskiego, zachowując strukturę myślową charakterystyczną dla tego gatunku, wymyka się z ram wyprawiedzi zwyczajnej znamiennej dla apoftegmatu, maksy, rozsadzana przez strumień uczucia: Jak zwyciężać, aby nie było pokonanych? Nie pozbawione moralizatorskiego wydźwięku aforyzmy autora „Poczekalni” (1978) należy czytać ostrożnie, pamiętając jednocześnie o charakterystycznej dla poety alu-

zyjnej przekorce sformułowań i osądów: Trzecią stroną medalu jest pierś odznaczona.

Wprawdzie — jeżeli wierzyć Stefanowi Themersonowi — „Od hasła, sloganów i aforyzmów nie mądrzejemy. [...] Hasła i slogany [...] podobne są jak prawdy absolutne, albo jak przykazania boskie, a nie są ani jednym, ani drugim i tylko dlatego, że operują uogólnieniami, zdarza się, że są pożyteczne”. Niemniej jednak szlachetne prawo do oczyszczającego śmiechu i optymistycznej przekory wydaje się być wystarczającym powodem uprawiania tego rodzaju twórczości.

Marek T. Barański

Dominik Opolski: Kto żyje, błądzi z innymi. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982.

Henryk J. Kozak

WIEZOWCE

O północy lubię patrzeć
jak gasną
słupki wieżowcom
jak nagle
przemieniają się
w betonowe monstra

a czasem gdy noc jasna widzę
jak usiłują
przybliżyć się ku sobie

może chcą ze sobą pogadać
zwyczajnie
po ludzku
jak kiedyś my z sobą

pewnie im także
doskwiera samotność.

FRAGMENT ZYCIORYSU

Kiedy wyjechałem i długo
mnie nie było
wieś powiedziała
że pewnie gdzieś

kariere robię
byli też tacy którzy
widzieli mnie wielkim panem
w telewizji

lecz gdy niespodziewanie
po latach
wróciłem
w tej samej starej
i polatanej jesionce
orzeka że zmarnowałem życie
stałem się przedmiotem kpin

wtedy wyjechałem na zawsze.

WIECZÓR AUTORSKI HENRYKA K.

Świat to szept
łagodny i tklivy
człowieka z człowiekiem
fali z brzeżem
lasu z wiatrem
kosi z dojrzałym lipcem
i nic
na nim nie ma
oprócz szeptu
i nabrzmiewającej wciąż
grobowej ciszy

TYLKO DATY

Moje życie to tylko
dwie daty

pośród nich
odrobina radości
trochę rozpaczy
nagle ucieczki w złudzenia
i szybkie
z opuszczoną głową powroty
i podróże podróże podróże
do pracy
i z pracy

zwyczajnie jest moje życie
niewarte powtórzenia
jak ten wczorajszy
mglisty i zimny
dzień listopadowy.

NIE PYTAJ

Nie pytaj kim jestem
dokąd zmierzam
i tak nie skłonił mnie
do zwierzeń

i jeszcze ci powiem
że specjalnie tajne
są moje marzenia

trzystu niewidzialnych agentów
ich strzeże
nie odstępują mnie
i w dzień
i w nocy
tak że czasami
sam nawet nie wiem
czy wypadła mi
przy nich marzyć
na przykład o kobiecie
albo o podróży do Hiszpanii
lub na Wyspy Szczytłowe

a najlepiej
o nic mnie nie pytaj
bo ja cały
jestem z tajemnicą
i już dawno
przestałem należeć
do siebie.

JESZCZE SEN

Wczoraj
śniło mi się
że widziałem

szedłem samotny
brzegiem wzburzonego jeziora
w stronę
płoniącego się rdzawo
październikowego słońca

i myśląc
że to właśnie jest szczęście
schodziłem coraz niżej
w głąb.

Pierwszy sezon w Teatrze Rzeczypospolitej

POD koniec października 1983 roku rozpoczął działalność Teatr Rzeczypospolitej, mający siedzibę w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Pracę tej nietypowej placówki teatralnej, powołanej do życia na początku 1983 r., poprzedziły liczne dyskusje i polemiki na łamach prasy teatralnej i społeczno-kulturalnej oraz w środowisku teatralnym. Uczestniczyli w niej krytycy teatralni, aktorzy, dyrektorzy teatrów stołecznych (Kazimierz Dejmek) i terenowych (m.in. w Kielcach, w Białymstoku). Ujawniło się wiele głosów niechętnych nowej instytucji teatralnej, zresztą były one w pełni uzasadnione. Na początku bowiem teatr nie posiadał ściśle określonego programu działalności, zarówno w zakresie repertuaru, jak i sposobów jego prezentacji. Pierwszy organizator tej placówki, Andrzej Cybulski z Gdańska, zaproponował koncepcję nazbyt rozbudowaną, zmierzającą trochę w kierunku form działalności estradowej.

Wiosną 1983 roku na stanowisko dyrektora Teatru Rzeczypospolitej powołano Jana Pawła Gawlika, jednocześnie sformułowano program działania, uwzględniając środki i możliwości nowej instytucji. Zasadniczym celem teatru jest prezentacja najwybitniejszych osiągnięć teatralnych w kraju, wymiana teatralna między różnymi ośrodkami. Zatem teatr nie tylko stwarza widzom możliwość oglądania wybitnych przedstawień, ale także umożliwia teatrom terenowym i stołecznym prezentację ich twórczości w innych ośrodkach, dla publiczności różnych miast i środowisk. Teatr Rzeczypospolitej chce w jakimś sensie nawiązać do tradycji teatru wędrownego, powołując się na Redutę, która pod kierunkiem Juliusza Osterwy przemierzała obszary II Rzeczypospolitej oraz starszą jeszcze tradycję Wojciecha Bogusławskiego. Takie założenia teatru pozwalają mieć nadzieję, że jego działalność przyczyni się do szerszego obieg społecznego wybitnych wartości, jakie rodzą się we współczesnym polskim teatrze.

Dwudziestego października ub.r. odbyła się inauguracja działalności Teatru Rzeczypospolitej. Na początek zaproszono Teatr Stary z Krakowa, z „Wyzwoleniem” Stanisława Wyspiańskiego, w reżyserii najwybitniejszego scenarzysty w powojennym polskim

teatrze, zmarłego tragicznie przed osmioma laty (katastrofa samolotowa pod Damaszkiem w 1975 r.) Konrada Swinarskiego. Lepszego wyboru być nie mogło — umożliwił on oglądanie przedstawienia uznanego za najwybitniejsze osiągnięcie inscenizacyjne w powojennym polskim teatrze, które liczy już prawie dziesięć lat (premiera 30 maja 1974 r.), wciąż jednak jest jeszcze aktualne. Czas nie zdołał zniszczyć tego doskonałego dzieła, żywe i silne są w nim ciągle myśli głównego bohatera o Polsce. Reżyser nie stworzył wszak widowiska publicystycznego, „aktualnionego” i „uwspółcześnionego”, wyśtawił „Wyzwolenie” historyczne, jako tragedię narodową i tragedię Konrada (artyści i patrioci), aktualną w każdej epoce. Stąd po dziesięciu latach przedstawienie zachowało swoje istotne treści i znaczenia.



„Wyzwolenie” Stanisława Wyspiańskiego, reż. Konrad Swinarski. Teatr Stary w Krakowie. Na zdjęciu: Jerzy Treliński (Konrad).
Fot. Wojciech Piewński

Teatr Rzeczypospolitej zapowiadał, że na początku działalności chce przynajmniej raz w miesiącu gościć na swojej scenie inne teatry. Zatem pod koniec listopada 1983 r. przybył do Warszawy krakowski teatr Tadeusza Kantora „Cricot 1”, ze spektaklem „Wielopole, Wielopole”, powstałym w 1980 roku. Niewiele jednak widzów w Polsce miało możliwość oglądania tego spektaklu, z którym Kantor przewędrował przez wiele metropolii świata, zdobywając ogromne sukcesy. „Wielopole, Wielopole” jest kolejnym ogniwem w rozwoju „teatru śmierci”, jaki od wielu lat tworzy Tadeusz Kantor. Jest wędrowną w poszukiwaniu utraconego czasu poprzez powrót do pokoju dzieciństwa, choć ów pokój — jak określa go sam Kantor — jest „UMARŁY I UMARŁYCH”. Przywoływany wspomnieniem — nieustannie umiera. Właściwy bohater teatru Kantora to czas, czas przywoływany i odwracany gestem obecnego wciąż na scenie Demurga-Kantora, który kształtuje również ruch postaci. Wytłaniają się fragmenty dziecinnej pokójki w podrzeszowskim miasteczku Wielopole, zatłoczone postaciami wujków i ciotek, echemi wojny... Wszystko to fragmenty...

ne, niepełne, pogubione, straconego czasu nie da się bowiem przywrócić.

15 grudnia 1983 r. Teatr Rzeczypospolitej odbył swą pierwszą „wędrowkę” aż na krańce Rzeczypospolitej, do Wielopola Skrzyńskiego, miasteczka, w którym urodził się Tadeusz Kantor, gdzie dzieje się akcja sztuki i gdzie

Z BOCZNEJ LOZY

żyły kiedyś postacie dramatu, a więc „dramat znalazł swoje miejsce w rzeczywistości”. Spektakl został zaprezentowany w kościele parafialnym, w którym ksiądz Józef, główna postać spektaklu, był niegdyś proboszczem. Teatr został bardzo gościnnie i życzliwie przyjęty przez obecnego proboszcza w Wielopolu, księdza prałata Juliana Smetana, który przebywa w miasteczku od 1932 r. i już wtedy znał Tadeusza Kantora. Artysta, będąc wówczas studentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, odwiedzał rodzinne Wielopole.

Teatr Rzeczypospolitej zapowiada wędrowki do innych miast i ośrodków. Przybędzie również do Lublina, choć nie wiadomo jeszcze z jakim przedstawieniem.

A tymczasem w Warszawie teatr prezentuje kolejne, trzecie już przedstawienie (18, 19 i 20 stycznia 1984 r.): jest to „Ślub” Witolda Gombrowicza, w oryginalnej koncepcji interpretacyjnej młodego reżysera Ryszarda Majora, ze scenografią Jana Banuchy, zrealizowany w 1982 roku w Teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku.

Nie wypadła na razie szczegółowo ocenić działalności Teatru Rzeczypospolitej, bo przecież to dopiero połowa pierwszego sezonu. Udany początek działalności tej nowej placówki teatralnej pozwala jednak mieć nadzieję, że scena Teatru Rzeczypospolitej stanie się źródłem bogatych przeżyć artystycznych dla widzów i interesujących doświadczeń dla zapraszanych zespołów i teatrów.

Lidia Wójcik

Pomniki dramatu czy dramat pomników?

PRZEZ kilka tygodni, na przełomie minionego i bieżącego roku, czynna była w stołecznym Muzeum Narodowym wystawa projektów nadesłanych na ogólnopolski konkurs Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego 1944. Konkurs miał charakter otwarty, więc uczestniczyli w nim bardzo odmienni ludzie: młodzież szkolna i osoby posunięte w latach, amatorzy oraz profesjonalni rzeźbiarze i architekci miłośnicy tradycji artystycznej i autorzy reprezentujący współczesne myślenie plastyczne. W rezultacie wystawa przypominała jakiś baśniowy las mieszany, w którym co krok, to dziwo: a to ogromne w skali budowle arkadowe na planie znaku Polski Walczącej, a to znów zmaterializowane wspomnienie rzeźby asyryjskiej czy młodopolskiej, a w innym jeszcze miejscu —



potężna pięść wylaniająca się dosłownie z podziemnia niczym rakietą atomową z silosa ukrytego pod placem Krasińskich, gdzie właśnie stanął ma pomnik powstania. Jeden z autorów zaprzagnął zamienić ów plac w symboliczny cmentarz: pełen jednakowych krzyży otaczających wyniosły krucyfiks, przed którym orzeł skrzydlaty przycupnął na cokole. „Wątpliwości budzi użycie elementu centralnego” orzekło jury, nie komentując wszak dwóch innych i bezwzględnie najskromniejszych propozycji, złożonych w formie rysunku na kartkach wyrwanych z zeszytu szkolnego, a przedstawiających powstańczego znak walki i nadziej eksplodowany zresztą w wielu pozostałych projektach obok motywów głów heroiczych, orłów rozciętych bloków kamiennych, mieczy i barykad. Unosiły się na tej wystawie symbolicznie stylizowane skrzydła, eksplodowały metaforycznie potraktowane formy prawie-abstrakcyjne, do skupionej uwagi zmuszały atropomorficzne, zwarte bloki rzeźbiarskie, autoryzowane przez Gettera i Sakowskiego z Krakowa, a należące do najpoważniejszych propozycji tego pokazu naszych wyobrażeń o powstaniu.

Jury konkursu miało taki obowiązek i po obejrzeniu kilkudziesięciu modeli do następnego etapu zakwalifikowało 14 prac, zapewne najlepszych. Ba, ale co to znaczy „najlepszych” w przypadku konkursu na pomnik, który ma upamiętnić fakt będący niejako własnością zbiorowej wyobraźni narodu i każdego z nas osobno?

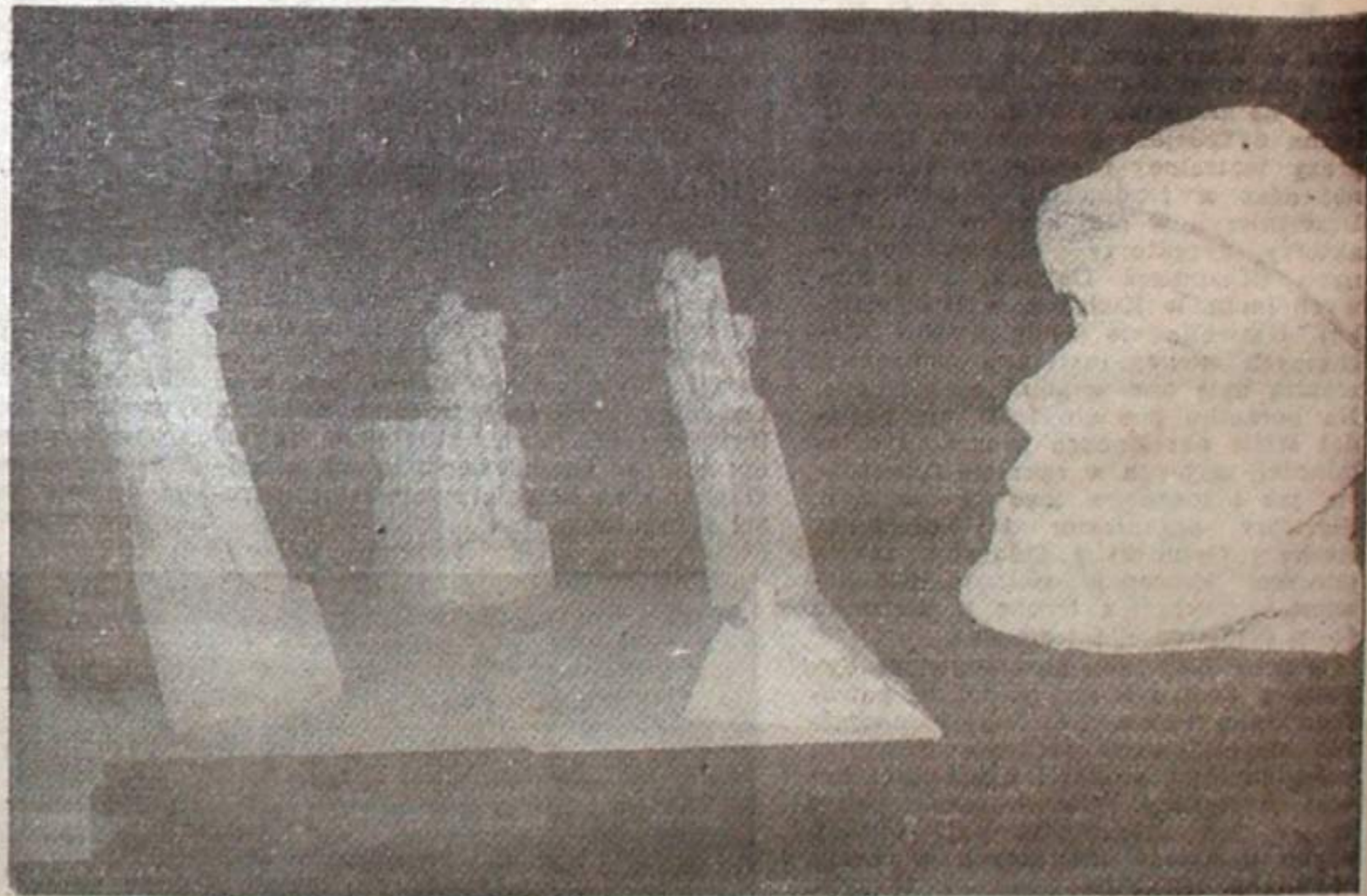
W powstaniu walczyły kilku- czy kilkunastoletnie dzieci, dzielnie wspomagające rodziców, więc autor jednego z projektów pomnika wyrzeźbił w drewnie figurkę chłopca w krótkich spodniach, stojącego pod „cegłanym” filarem — pozostałością jakiegoś domu zapewne. Zdobczy hełm i białoczerwonym otokiem nakrywa głowę drobnej postaci aż po oczy, w przepastnych żołnierskich butach kolebią się chude nogi. Chłopiec opiera się o karabin, odrobiony ze zdumiewającą dokładnością, w prawej dłoni dzierży butelkę, jak domyślamy się, z benzyną. Ten granat własnej roboty w oryginale groźny niegdyś nawet dla „Tygrysów”, wyróżnia się zresztą z całości przedstawienia bo pokryty go srebrną farbą. Model jest więc czytelny, gromadzi akcesoria i symbole, które wybierają z naszej pamięci owe dwa tragiczne i heroiczne zarazem miesiące 1944 roku, choć jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że mamy oto przed sobą rzecz nieporadną pod względem rzeźbiarskim, amatorską, w ogóle banalną, wręcz przeniesioną do Muzeum Narodowego z jakiegoś małomiasteczkowego jarmarku, gdzie tkwiła w gęstwinie gipsowych kościuszków i świętych pańskich. Mimo wszystko, nie mamy jednak jakos ohoty na uśmiech ironiczny.

Zapewne, z punktu widzenia człowieka obdarzonego pewną kulturą plastyczną, bywałego na wystawach sztuki współczesnej, ten drewniany powstaniec nie jest w stanie konkurować z koncepcją Adama Myjaka wybitnego rzeźbiarza warszawskiego. Jego projekt stanowią zbiegające się ku górze, ułożone w kształcie poszarpanego stożka bryły z napisami: „Parasol”, „Zośka”, „Zywiciel”. Tę wielką metaforyczną barykadę, zbudowaną z mniejszych szanów, wieńczy kamienny płomień ze znakiem Polski Walczącej i nikt chyba nie może mieć wątpliwości, co upamiętnia ten pomnik. Ale gdyby nawet przed modelem stanął ktoś nie znający sensu owego znaku, nie potrafiący odczytać kryptonimów powstańców batalionów, więc gdyby przed rzeźbą Myjaka stanął cudzoziemiec — i on zapewne zrozumiałby że w ten miękki gips wpisana została idea twardej walki nielicznych z przeważającą siłą; przywołana w dookólnej przestrzeni agresywną i w morderczym, trudzie odpieraną przez uginające się pod ciosami barykady. Kierując uwagę na konkretne wydarzenie z historii, projekt Myjaka posiada sens uniwersalny, uchwytny w plastycznej strukturze monumentu.

Figurka ze srebrną butelką w dłoni i harcereką chustą na szyi przegrywa też w polu sztuki z „Forum pamięci powstania warszawskiego 1944” sygnowanym przez studenta V roku Wydziału Rzeźby stołecznej ASP, Piotra Rzeckowskiego i architekta Marka Ambroziewicza. Ich projekt posiada do troche charakter inscenizacji teatralnej, unaczni scenę z powstania z bram w dwóch blokowych murach usytuowanych prawie naprzeciwko siebie na przeciwległych krańcach rozległego placu, wybiegają uzbrojeni powstańcy — a wszystko to dzieje się na tle długiego muru oporowego w głębi, z wybitą na nim data 1944 roku. Czy można jednak powiedzieć: „dzieje się” skoro przedstawienie rozgrywa się w ciszy — w napiętej ciszy wielkiej przestrzeni owego forum, może symbolizującej samotność powstańców? Wbrew pozorom, projekt warszawskiego zespołu wcale nie wyczerpuje się w sferze fabuły naszkicowanej przy pomocy form rzeźbiarskich.

Tak jest, figurka wykonana przez amatora nie wytrzymuje konkurencji artystycznej z realizacjami profesjonalistów, ale czy ustępuje im w innej ważnej sferze: intencji moralnych? Ludzie bywali nie kryli swej irytacji na widok naiwnego pomniczka z drewna eksponowanego jak równy wśród równych w szacownej sali (i korytarzu) Muzeum Narodowego. Nie rozumieli widać, że wystawiono tam nie tylko sztukę, ale i proste znaki człowieczych wzruszeń.

Ireneusz J. Kamiński



Fot. Waldemar Stępień

Kajet literacki

Konkursy

NIEKTORZY twierdzą, że konkursy literackie są niepotrzebne, inni znów sądzą, że są ich za dużo, że są nieorganiczne. Sceptycy głoszą, że poziom konkursów jest generalnie niski. To przecież właśnie „wpowych” sceptyków, zawsze najlepsze nawiązanie znajda swoich wrzaw, bo książka jest przedmiotem do wyboru, można ją tanio kupić, a można i „zruceć”.

Właściwie nie powinienem narzekać, bo wytypowałem w konkursie na debiut proza-

torski. Skakałem z radości pod sufit i cieszyłem się, że moje książki zostały nagrodzone, zdobyłem rzecia część nagród, na które zyskać ponad stu uczestników. Wydawało mi się wtedy, że potrafię wygrywać nawet olimpiady.

Po kilku tygodniach pewna stara pisarka zgłosiła mi, że chce mi powiedzieć, że konkursowe nagrody przywoz, się w oczekach. Wpierw myślałem, że to tylko skleroza przez nią przemawia. Nie miałem przecież wtedy żadnych znajomości, nie byłem zwiastkiem z „czeki” a poza tym salony literackie nie byłyby wcale instytucje kulturalne, wydawały mi się wspaniałymi świastkami, gdzie jest miejsce dla kapłanów i dla wier-

nych, ale nie ma miejsca dla kombinatorów.

Stwierdziłem jednak, że konkursy, uważnie studiowałem konkursowe wyniki. Zaczęły docierać do mnie takie podejrzane. Dlaczego w konkursach urządzanych przez pewne piśmno, zawsze główna nagroda zdobywa zastępca redaktora naszego „leż” piśmna? Dlaczego w biegu startuje on w konkursie, którego jest współ-redaktorem? A następnie pare konkursów „wielkich” zauważyłem, że członkowie jurów, jury ansują swoich koleżków. Przypadkiem miałem tuorów i laureatów, widać im było, że to chędzi.

Wreszcie prawdziwe zdumienie budzi pewien środowiskowy konkurs na powieść. Środowisko natychmiast się aktywowało. Nacisk poszły w dwóch kierunkach zaczęto przeciągać termin, forsować swoich ludzi do jury. Termin przesunęto w pierw o trzy miesiące, potem o pół roku, potem znowu o kilka miesięcy, jeszcze raz o kwartał. Jednocześnie uczestnicy uganiłi się za kandydaturą na jurorów lednich akceptowali. Innym nie Frajerzy przyswiali maszynowy wzrost, widzieli, jak ich koleżki, imięta, imię w kółkach „pęta” i tak, wspaniałowano, imięta, imię, imię, puszczał. Na żadnych zawodach nikt nie

czeka na starcie na późniejszego zawodnika — a przecież sport jest niby taki skorumpowany. Teraz nie zdziwiłbym się specjalnie, żeby się okazało, że konkursowi geolodzy używali dopingujące środki farmakologiczne, następnie w wyniku uboczne go działania tych środków zmienili się.

Jeszcze raz powtarzam, że nie jestem wrogiem konkursów literackich, które istniały już w starożytności, ale uważam, że juror, tak jak każdy sędzia, powinien być poza wszelkim podejrzeniami. Sprzedajny sędzia to narząd obrzydliwa figura.

I jeszcze, jedna sprawa. Konkursy powinny dynamizować te zjawia beletrystyki, które są naprawdę zaniedbane, słabe artystycznie, a więc powieści dla młodzieży, kryminały, produktywistki. Przecież w gruncie rzeczy nie mamy ani jednego dobrego kryminału. Niektórzy zdenerwowali krytycy sądzą, nawet że, u nas prawdziwy kryminał powstać nie może. A przecież jest! Czyż nie ma u nas przestępstw? Czyż nie ma detektywów, którzy ich oazysta? I o sobicie więcej w „dobry polski kryminał” i nie tylko w krymin-

Cholerne wody

Dokończenie ze str. 3

coraz więcej pakunków. To dla żony, to dla dzieci, to na biznes.

Kończy się rekreacja, zbiorczą załogi na burcie. Przed północą, gdy przypływ podnosi wody oceanu, pilot ostrożnie manewruje statkiem. Kapitan cały w nerwach, pali papierosa za papierosem. Tor wodny wąski, ledwie mieści się w nim nasz „Delfin”. Przewrócony wrak Greka dobitnie świadczy o tym, że żartów nie ma.

— Ster lewo pięć, stop maszyna, pół wstecz!

Dzwonki telegrafu, komenda za komendą. Wreszcie wychodzimy na bezpieczne wody. Pożegnanie z pilotem i — cała naprzód! Głowa w oddali światła portu, mruży ocean, kołyszą się gwiazdy. Kurs na Falklandy.

Ryczące czterdziestki i wyjące pięćdziesiątki — najniebezpieczniejsze akweny świata. Szybkie zmiany pogody, gwałtowne spadki ciśnienia. Krótkie okresy mglistej ciszy i nagle zrywy wichury. Kręcą się macki anten radarowych, nawigatorzy wypatrują oczy. Piekli się ocean, a wokół polskie jednostki. Nieco niżej skaliste brzegi Falklandów. Na świetlistym ekranie wędruje biały punkcik. Trzeci oficer biegnie do ukafki.

— Tu „Delfin”. Jestem pod trałem. Kto idzie na mnie od westu?

— Pada odpowiedź, uzgodnienie kursów. Dzień po dniu, noc po nocy, w kółko to samo. Bosman, wydajemy! Bosman, wybieramy! Filety, tuszki, mączka.

Radzik ogłasza, że ma łączność z krajem. Kilkunastu chętnych czeka pod drzwiami radiostacji. Trzej pierwsi mają słyszalność, przy czwartym łączność urywa się. Radzik kręci galkami regulatorów, zmienia pasma.

— Szczecin Radio! Szczecin Radio! Woła „Delfin”. Czy mnie słyszycie?

Trzaski i piski. Koniec rozmów. Przekleństwo pod nosem i powrót do kabin. Zaraz trzeba iść na wachtę.

Zbliżają się święta, a tu czarna seria. W odstępach kilku dni ginie samobójczo trzech rybaków. Szybko rozchodzi się ponura wiadomość, dociera i do nas. Zbyt długo trwały rejsy, ludzie nie wytrzymują psychicznie. Przedsiębiorstwo nie może pozwolić sobie na skracanie rejsów. Za duże odległości, za duże koszty wymiany załóg. Kłóją interesy firmy z interesem jednostki. Są więc ofiary. Trwa czarna seria. Z dalmorowskiej „Aquila” wyskoczył za burtę czwarty mechanik. Młody chłopak, pierwszy w życiu rejs. Poszukiwania bez rezultatu. Opuścił do połowy masztu banderę. Załoga. W przeddzień wigilii M/T „Rekin” przypadkowo wyciąga w sieci zwłoki. Po trudnych rozmowach z krajem marynarski pogrzeb. Mam wielu pacjentów.

— Doktorze, coś na uspokojenie. Boję się, żeby mnie nie naszło jak tamtych...

Mijają smutne święta Bożego Narodzenia. Noc sylwestrowa jest pogodna, rozwiał się chmury, intensywnie świeci Krzyż Południa. Strzelają w niebo rakietki, wzbuchają petardy. Oby ten 1983 był lepszy.

Po kilku dniach zrywa mnie w środku nocy pierwszy oficer.

— Ubieraj się szybko! Zaraz będzie szalupa.

Biegne na mostek.

— Co się stało?

— Reanimacja na „Bonito”. Chyba zawał. Lekarz prosi o pomoc.

Po chwili z ukafki dowiadujemy się, że trzy statki były bliżej. Trzech lekarzy jest już w drodze. Zostają na „Delfinie”. W napięciu czekam przy ukafce. Z załogą „Bonito” przybyłem na ocean. Znam tych ludzi. Jeden z nich walczy teraz ze śmiercią. Kolejna informacja — zgłosili się Anglicy. Wojskowy helikopter zabiera chorego do Port Stanley. Iskierka nadziei, chociaż utrzymują się objawy śmierci klinicznej. Mijają dramatyczne godziny. Następną wiadomość jest krótka — chory zmarł.

Przed oczyma mam moment pożegnania z rodziną przed szczecińskim Czerwonym Ratuszem. Twarze matek, żon, dzieci i to — uważaj na siebie, szczęśliwego powrotu... „Bonito” zmienia kurs. Płyną po ciału kolegi. Pogrzeb odbędzie się w kraju. Znowu bandera w połowie masztu. Ludzie smują się jak cienie.

— Doktorze, coś na sen. Nigdy tu nie przypłynę. Cholerne wody!

Kręcą się bębny wind tralowych, dymią komin mączkarni, siatka w górę, siatka w dół, śniadanie, obiad, kolacja.

Przy końcu stycznia Radzik odbiera komunikat o zatonięciu na Morzu Śródziemnym statku PLO „Kudowa-Zdrój”. Kolejne ofiary marynarskiej służby.

Kręcimy się w pobliżu Falklandów. Skąły i trawiasty wzgórze. Ani jednego drzewa. Tak niedawno rozrywały się tu bomby, ginęli ludzie. Teraz cicho i sennie. Z każdej burty traluje po kilkanaście statków. Praktycznie jest tu cała polska flota dalekomorska. Na kominach wymalowane znaki gdyńskiego „Dalmoru”, świnioujskiej „Odry” i szczecińskiego „Gryfa”. Nie jest winą rybaków, że nie mogą łowić na innych, lepszych łowiskach. Więc błękitki i błękitki. Innych ryb tu nie ma. Przy końcu stycznia powinien pokazać się kalmar. Jest droższy, będą lepsze zarobki.

Codziennie oblatuje nas brytyjski myśliwiec.

— Kadrowy sprawdza listę obecności — żartują rybacy, gapiąc się na podwieszono pod skrzydłami pociski rakietowe. Na mapach tralowych zakreślone czerwonymi liniami pola minowe. Trzeba uważać.

Zapełnione już ładownie, kończy się paliwo. Wchodzimy do zatoki Berkeley. Kotwimy tam nasza baza „Pomorze” i tankowiec „Pieniny II”. To jego ostatni rejs pod polską banderą. Został sprzedany Indonezji. Dwa długie dzwonki. Alarm manewrowy! Będziemy dobijać do burty „Pomorza”. Opuścił kotwicę spełnia rolę hamulca. Padają z mostku komendy. Sprawdzian dla kapitana. Można z biegu lekko i sprawnie zatrzymać się tuż przy burcie, można też zdrowo przyłożyć dźwobem lub rufą, rozpruć blachy poszycia. Stajemy idealnie. Podane cumy. Stop maszyna! Kapitan Springer wie, że lubię żeglować po Mazurach.



Ryz. Zygmun Fylik

Zapalając papierosa, uśmiecha się i pyta swoim buczącym głosem:

— No co, doktorze, podszedłby pan tak jachtem do kei?

Po dwóch dobach rozładunku odbijamy od bazy. Przed nami tankowiec. Malowane na czerwono burty i duże napisy — no smoking. Płatanina rur na pokładzie. Bierzymy 900 ton paliwa. „Delfin” zużywa 11 ton na dobę, starczy do końca rejsu.

Z morza płyną wieści, że pokazał się kalmar. W dobrych nastrojach ruszamy na łowisko. Trawlery „Odry” wyposażone są w zakupione od Japonczyków specjalne urządzenia do polowania tych morskich drapieżników. W dzień kalmar chowa się na dnie, natomiast nocą rusza na polowanie pod powierzchnią wody. Statki „Dalmoru” i „Gryfa” ciągną przez cały dzień swe denne siatki, natomiast Odrzańcy odpoczywają. Gdy schowa się słońce, zapalają na swych burtach potężne reflektory i świecą po wodzie. Kalmar zbiera się w cieniu burt czyhając na zdobycz. Na granicy światła i cienia zanurzają się w wodzie cienkie linki uzbrojone w haczyki i przystrojone pomarańczowymi koralikami. Haczyki, zwane dżigersami, wędrują z burty pod wodę i wracają na burtę. Byskają pod wodą koraliki, rzuca się na nie kalmar, zawisa na haku i po chwili jest nad pokładem. Odwraca się na boczku pozbawiony grota haczyk i różowe ciało spada prosto do podstawionych koszy. Idzie to szybko, zapełniają się kosze, a stojący w miejscu statek oszczędza tony paliwa.

Ale my nie mamy dżigersów i wlecemy siatkę po dnie. Zapisy w monitorach dobre. Przed nami tralują dwie inne jednostki. W ukafkach radosne okrzyki. Padają różne terminy. Drzazgi, zapalki, świece, a nawet nogi słońca. To ostatnie jest najlepsze. Oznacza, że na przesuwającej się pod ekranem monitora papierowej taśmie piórka zapisu graficznie kreślą czarne plamy. Znak, że zapełnia się siatka. Pierwszy z trawlerów wybiera i po chwili leca w eter przekleństwa. Pękły linki i urwana sieć została za rufą. Tysiące mew rzuca się na wodę. Głośne kwilenie z pewnością jest podziękowaniem za prezent. Ten sam los spotyka następny

statek. Kapitan Springer cały w nerwach.

— Bosman wybieramy!

Wychylają się wskazówki zegarów sygnalizujących obciążenie sieci. Urwie się czy nie urwie? Urwało się! Kilka set tysięcy złotych za rufą. Natychmiast ulatnia się kibicujące na mostku towarzystwo. Wiadomo, że Stary będzie szalał. Lepiej schować się w kabinie.

Następne hole załatwiane są już z „czuciem” i do przetwórni spływają z pokładu tony kalmarów. Obróbkę błękitki załatwiły maszyny. Przy produkcji kalmarowych tub trzeba się napracować. Ręcznie odcina się głowę z mackami, tuby układa się w blaszanych tacach. Tace wędrują do szaf zamrażalniczych, a potem lodowe tafle pakuje się w kartony.

Zbliża się sto pięćdziesiąty dzień rejsu. Telegram od armatora podaje termin podmiary. Nareszcie! Ostatni hol i syrena obwieszcza koniec połowów. Radość na zmęczonych twarzach ludzi. Jeszcze raz zatoka Berkeley i rozładunek. Teraz już płyniemy do Montevideo. Wielkie sprzątanie, malowanie, konserwacja. Wszystko musi być klar! Coraz cieplej. Na termometrach już ponad 40 stopni. W kraju blade twarze, wszak to luty, więc dalej bużkę do słońca. Niech spali na Murzynal! Stolica Urugwaju szkłada się do karnawału. Głośno i kolorowo. Pospiesznie ostatnie zakupy, pamiątkowe zdjęcia pod palmami.

Na keję zajeżdżają autokary z nową załogą. Przekazanie statku i — dobrze, koledzy! Samolot wzbija się w powietrze, ginie za horyzontem południwoamerykański łód. Skok do Las Palmas, a potem już Szwecja. Z Ystad do domu tylko krok. W dół przewalają się fale Atlantyku. Rozmowy o rejsie, o dobrych i złych dniach, o tych którzy nigdy już nie wrócą. Patrzę na twarze kolegów. Dla mnie koniec wielkiej przygody, dla nich zaliczony kolejny rejs. Zaklinają się, że dosyć mają morza, że trzeba pobyć z dziećmi, że przez rok nie wejdą na statek.

Nie miną trzy miesiące, a znowu będą na oceanie...

Janusz Perzyński

Katastroficzna wizja

DZIEŃ PO...

W WASHINGTONIE — relacjonuje tygodnik „Newsweek” — odbyła się niedawno konferencja naukowa pod hasłem „Świat po wojnie nuklearnej”. Wzięło w niej udział 100 fizyków, biologów i innych naukowców z całego świata, którzy wymienili doświadczenia z dwuletnich badań nad tym zagadnieniem. Zastanawiano się, w jakim kierunku pódą zmiany klimatyczne na Ziemi po wojnie nuklearnej, jaki będzie jej wpływ na życie roślin i zwierząt. Rozpatrywano ewentualność uderzenia od 100 megaton (np. 250 Pershingów) do 5000 megaton (mniej niż połowa światowego arsenału nuklearnego). Wyniki tych rozważań są mało optymistyczne. Długofalowe skutki wojny nuklearnej wydają się być jeszcze bardziej zębne dla życia naszej planety niż bezpośrednie skutki eksplozji, pożarów i radioaktywności.

W przypadku uderzenia 5000 megaton gorące podmuchy tak rozgrzewają powietrze, że zacznie się palić wszystko, co tylko może płonąć. Rozprzestrzeniające się pożary zapalą wszystkie produkty chemii — od zebranych w magazynach po konstrukcje i wyroby chemiczne. Powietrze będzie wypełnione trującymi dymami tlenku węgla, dwutlenków i cyjanów zagrażającymi ocalonym i tworzącymi kwasowy deszcz, który zniszczy dzisiejszy obraz świata.

Katastrofa nuklearna może także spowodować rozgrzanie gleby do tego stopnia, że zginą wszystkie nasiona, a wraz z nimi wszelkie nadzieje na wskrzeszenie życia na Ziemi. Ponadto przy temperaturze powietrza, dochodzącej do 1700°C wokół nuklearnego wybuchu, wytworzy się fotochemiczny smog. Zniszczy to w stratosferze połowę warstwy ozonu, gazu absorbującego światło ultrafioletowe, powodujące mutacje i raka.

Następnie zapadnie ciemność. Mniej więcej w tydzień po wojnie ok. 200 mln ton dymu z sadzy utworzy coś, co nazwano „czarną drogą”, na wysokości 5 km. Dym ten zasorbują te promieni słoneczne, że mniej niż 5 proc. normalnej ilości światła osiągnie Ziemię. Spowoduje to mrok blokujący nawet fotosyntezę. Jeśli woń na wybuchnie latem lub wiosną, to zginą wszystkie rośliny najbardziej wrażliwe na nagły mróz, a bez tego pierwszego ognia w łańcuchu żywnościowym każdy wyższy organizm będzie narażony na głód.

Obniżenie temperatury na wiele miesięcy spowoduje zamrożenie powierzchni wód do głębokości

prawie 1 m. Nazwano to „nuklearną zimą”. Ten skutek wydaje się groźniejszy niż sądono wcześniej, kiedy nie brano pod uwagę ogromnych ilości dymu emitowanego z płonących miast.

Więcej niż obliczano w poprzednich raportach będzie także pyłu radioaktywnego, częściowo z powodu nowych modeli bomb atomowych. Obliczono, że w ciągu kilku miesięcy 1/3 Ameryki Płn. będzie narażona na promieniowanie o sile większej niż 200 radów (połowa dawki śmiertelnej).

Nie uchroni się żaden kawałek naszej planety. Dawniej uważano, że jeśli wybuch nastąpi w północnej hemisferze, to południowa będzie mniej narażona na konsekwencje wojny nuklearnej z powodu nikłego mieszania się powietrza między hemisferami. Ale obecnie uczeni ostrzegają, że nuklearne podmuchy spowodują tak ogromne różnice temperatur między południem a północą, że zmieni to normalne kierunki wiatrów, więc dymy i radioaktywne pyły przeniosą się także i na południe.

„Ograniczona” wojna nuklearna mogłaby ocalić naszą planetę. Ale czy da się ją ograniczyć? Uczeni ostrzegają polityków. Dobrze by było, żeby wszyscy zdawali sobie sprawę z tych „czarnych perspektyw”. Przede wszystkim ci, którzy decydują o naciśnięciu guzika...

Opr. Marta Dobromirska

JAK SIĘ RZĄDZI, PREZYDENCIE?

Dokończenie ze str. 1

dynek, w którym mieszka, bo firma remontowa nie musiała remontować poza miastem. Ze naprawiono kawałek ulicy itd. Wynik firm komunalnych oznacza, że proces degradacji substancji miejskiej jest wolniejszy.

— Inne satysfakcje?
— Nareszcie są założenia generalne do ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego miasta. W 1985 roku będziemy mieli aktualny plan perspektywiczny do roku dwutysięcznego, a nawet dalej.

— Daruje pan, ale ciesznie się z czegoś, czego efektów, jako prezydent pan nie doczeka i co na dodatek za rok może się okazać nieaktualne, wydaje się świadczyć o pewnym oderwaniu od rzeczywistości.
— Może z pozorów... Przez wiele lat, jako radny, zaangażowany byłem właśnie w sprawy planowania przestrzennego i perspektywy rozwojowe Lublina. Z bliska widziałem, jaki w tej materii panuje balagan, by nie użyć bardziej męskiego słowa. Wyglądało to tak, jak byśmy się umówili, że naszym dzieciom i wnukom zostawiamy miasto-widmo, na którego uporządkowanie i im życia nie starczy. Przecież trzeba wiedzieć, co się będzie robiło za rok, pięć lat, dziesięć. Gdzie się będzie budowało, skąd się będzie brało wodę, gdzie się spuci ścieki, po czym się będzie jeździło. Jest już w tych sprawach pewna jasność. To dużo.

— Wsiadał pan na fotel prezydenta z hasłem — między innymi — porządkowania dzielnicy. I co?
— Uważam, że jest w tej sprawie postęp. Opracowaliśmy założenia do planowego porządkowania dzielnicy. Te plany przewidują między innymi i to, że okrzepłe spółdzielnie mieszkaniowe będą musiały wchodzić na tereny zdegradowane i przywracać je miastu. Konkretnym efektem będzie także 20 procent mieszkań przekazywanych miastu do jego wyłącznej dyspozycji. Przy tej okazji chciałbym zauważyć, iż na tym przede wszystkim polega wspomniane porządkowanie. Na tym, a nie na dyskutowaniu, gdzie posiać trawę, a gdzie ustawić trzepak.

— Ale dla mieszkańców dzielnicy i takie „drobiazgi” są ważne. Nie można ich lekceważyć.
— Ja tego nie robię. Ale jest to sprawa dla samorządu mieszkańców, którą doskonale da się załatwić we własnym zakresie. Ze sprawą tą wiąże się także pewne moje rozczarowanie osobiste. Otrzymujemy jako Urząd Miasta wiele zaproszeń na spotkania w dzielnicach, ale kiedy nie zjawiam się na nich osobiście mieszkańcy są rozczarowani czy nawet oburzeni. Nie twierdzę, że takie spotkania nie są pożyteczne, ale dlaczego niby wiceprezydent czy pełnomocnik prezydenta ma być traktowany jako osoba mniej wartościowa, z którą nie ma o czym rozmawiać?

— Czy oznacza to, że w dzielnicach pana nie zobaczą?
— To wcale tego nie oznacza. Po prostu nie mogą być wszędzie.

— Pozostaliśmy przy tym porządkowaniu. Bolesnym problemem wielu dzielnic są domy walące się z dnia na dzień, a już przez miasto wywłaszczone. Co z mieszkańcami dla tych ludzi?

— Niestety, zabrakło nam wyobraźni w poprzednich latach. Wierząc w możliwości inwestycyjne, wywłaszczano pod przyszłe domy, ulice. Potem przyszło załamanie i ludzi nie ma dokąd przenieść. A oni pieniądze już wzięli i zupełnie ich nie interesuje, że dom, który przez lata był ich, teraz się wali. Zresztą jest to zgodne z logiką i wcale się temu nie dziwię. Jest takich rodzin w Lublinie ponad 500, co stanowi dla nas nie lada problem. Praktycznie nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć tym ludziom mieszkań w ramach budownictwa komunalnego, bo ono dopiero wystartowało po wieloletnich przerwy (w ubiegłym roku 172 mieszkania, w tym — 85) i załatwiane są z tego źródła potrzeby najbardziej dramatyczne. Kilkunastoosobowe rodziny żyjące w suterenach i utrzymujące się z jednej pensji, samotne matki z kilkorgiem dzieci, a także ci, którzy w wyniku okoliczności losowych zostają bez dachu nad głową, a nie są członkami spółdzielni, bo ich na to nie stać. Słowem, ludzkie ubóstwo.

— I co w takiej sytuacji? Ma się im na głowy pozawałać, żebyście ich dostarczyli?

— Jest to sporo bezradności z naszej strony. Chciałoby się przeprowadzić weryfikację decyzji wywłaszczeniowych, tam gdzie jest to jeszcze możliwe oraz — mimo nieopłacalności ekonomicznej — będziemy przeprowadzać remonty najbardziej zagrożonych budynków. Innego wyjścia nie ma.

— Wracając w tym miejscu do spraw porządkowania, chciałbym jeszcze dodać, że innym dramatycznym problemem jest sprawa likwidacji 49 baraków, w których mieszka na terenie miasta 304 rodziny, a co uważam w roku 40-lecia PRL za zjawisko nie przynoszące władzom miejskim chwały, a wręcz odwrotnie. Likwidacja tych relikwów jest moją osobistą ambicją.

— Odejść może od tych najmniejszych barw w obrazie miasta. Czy prezydent wie, jak się żyje lublinianom? Znowu powiem: zwykłym, przeciętnemu.

— To jest trudne i zbyt ogólne pytanie. Rozdzielny jest na dwie części. Jeżeli chodzi o warunki życia wynikające z samej substancji miejskiej, to powiedziałbym, że nie najlepiej. Lublin ma trudny układ komunikacyjny, co niewątpliwie wpływa na kłopoty mieszkańców z przemieszczaniem się. Posiada słabą bazę kulturalną, nierównomierne nasycenie siecią handlowo-usługową oraz wyraźny niedosyt placówek oświatowo-opiekuńczych (szkół, przedszkoli). Sprawy te, że warunki są trudne, choć w porównaniu z miastami większych aglomeracji przemysłowych jest może nieco lepiej. Nie ma też powodu ukrywać, że Lublin jest miastem ładnym, o ciekawym ukształtowaniu terenu, dużej

ilości zieleni, co nie stwarza wrażenia przygnębiającego, przytłoczenia mieszkańca substancją.

— Jeżeli idzie o materialne warunki życia, to ogólnie rodzina lubelska ma niższe dochody miesięczne niż statystyczna rodzina krajowa. Przeciętne zarobki w przemyśle wynoszą 13,8 tysiąca i są o dwa tysiące niższe od krajowych. Również płaca przeciętna czterech działów gospodarki uspołecznionej (przemysł, budownictwo, transport, handel), oscylująca wokół 12,5 tysiąca, jest niższa o ponad dwa tysiące od krajowej Biorąc pod uwagę tylko płacę, można sformułować twierdzenie, iż lublinianom żyje się biedniej. Gwoli uczciwości trzeba jednak zauważyć, iż ponad 60 procent lubelskich rodzin



Rys. Józef Tarłowski

ma powiązania ze wsią, co w pewien (niekiedy istotny) sposób wpływa na bilans wpływów i wydatków miesięcznych. Generalnie jednak, rdzennej klasie robotniczej żyje się biedniej niż w innych, bardziej uprzemysłowionych regionach, a także w porównaniu ze średnią krajową.

— Czy prezydent miasta ma wpływ na poziom życia jego mieszkańców?

— W części związanej z substancją miejską może mieć taki wpływ. Natomiast w materialnej — nie.

— Czy pan ma taki wpływ?

— Ograniczony, ale mam. Są to najczęściej sprawy niewymierne lub trudno wymierne. Jeżeli, na przykład, wymogę na budowlanych, aby oddali przedszkole bez opóźnienia, to zaoszczędzę rodzicom ganiań i dzieckiem do innego, bardziej odległego. No i jeśli w ogóle przedszkole powstanie, to pewna liczba rodzin zaoszczędzi na niankach. Jeżeli zmuszę MPK do uruchomienia nowej linii autobusowej, to może ileś tam osób zaoszczędzi na taksówkach czy tylko na czasie. W jakiś sposób sprawy te wpływają także na sytuację materialną. Nie mam natomiast żadnego wpływu na sprawy placowe. O tym decydują zakłady, resorty, ministerstwa.

— Mówi się, że miasto jest samodzielnym organizmem. Czy odczuwa pan to, na przykład, w jego budżecie?

— Budżet Lublina wynosi w bieżącym roku 4 miliardy złotych, z czego 1 miliard stanowi dotacja. Bardziej obrazowo, oznacza to, że z kieszy państwa do każdego mieszkańca dopłacają nam 3 tysiące. Pieniądże te pochłania, przede wszystkim, gospodarka komunalna: komunikacja miejska, wywóz śmieci, dostawa wody, odprowadzanie ścieków itp. Tak więc jest to samodzielność względna.

— Czy bez dotacji Lublin by zbankrutował?

— Gdyby zalażyć, że miasto jest organizmem samorządowym, w tym znaczeniu, że może wpływać na wszystko, co dzieje się na jego terenie, to przypuszczam, że byłoby samowystarczalne bez dotacji.

— Jakim cudem?

— Inaczej musiałyby zostać ustawione świadczenia na rzecz miasta. Dotyczy to przede wszystkim przemysłu, który zwykle ma duże wymagania od miasta, a w zamian oferuje niewiele. Mam w Lublinie zakłady, które istnieją już ponad 30 lat, a ich wkład w rozwój miasta jest symboliczny, by nie powiedzieć dosadnie. Paradoxy polega na tym, że udział zakładów przemysłowych w tym rozwoju zależy głównie od ich dobrej woli, a nie obligacji. Istnieje przy tym zależność odwrotna: proporcjonalna: im większy zakład, tym skłonności do pomocy miastu mniejsze; im mniejszy, tym większe. Oczywiście są wyjątki. Należy do nich odlewnia KM „Urusus”.

— Widzi pan jakis wyjątek?

— Myślę, że reforma gospodarcza oraz uprawnień rady narodowej, które w przyszłej kadencji będą znacznie większe, powinny stać się mechanizmami wymuszającymi większe zainteresowanie sprawami i potrzebami miasta ze strony wszystkich, którzy w nim żyją. W tym także przemysłu. Nie w tym jednak upatruję jakiś przełom; w każdym razie nie wyłącznie. Ważniejsze wydaje mi się wspólne uświadomienie sobie, że miasto nie jest zbieraniną oderwanych od siebie organizmów, a jedną niepodzielną całością. Z tym wiąże się pozytywistyczne hasło, które od roku próbuję lansować w różnych środowiskach i przy różnych okazjach: POMOZMY SOBIE SAMI.

— Mówimy do tej pory o sprawach generalnych, o problemach bardziej niż ludziach. Jak wyglądała pańska kontakty ze zwykłym lublinianinem? Z ludzka troską, krzywdą, niesprawiedliwością?

— Oczywiście, są takie sytuacje. Bezpośrednią dla nich okazją są przyjęcia mieszkańców, w każdą pierwszą wolną sobotę miesiąca. Zwykle ten

dzień kończy się dla mnie późnym wieczorem. Ponad 90 procent spraw, z którymi zwracają się interesanci, dotyczy sytuacji mieszkaniowej. Tu jest najwięcej łez, skarg, złorzeczeń. Tu też moja bezsilność jest największa. Zdarza się jednak, że rozwiązanie problemu zależy od ludzi i instytucji oraz leży w ich możliwościach, a nie został on rozwiązany bo komuś nie zależało, nie chciało się, czy też złośliwie unikał załatwienia. Wówczas reaguję szybko i zwykle skutecznie. Nie jest jednak takich spraw dużo. Wiele jest prób o pomoc w zdobyciu jakichś deficytowych artykułów, a niezbędnych do życia. Kiedyś, na przykład, zwróciła się do mnie ciężko chora kobieta o pomoc w zakupie pralki „Frania”. Porusza się z wielkim trudem, mieszka w okropnych warunkach i musi prac ręcznie. Te prośbę załatwiłem wydając polecenie sprzedaży pralki poza kolejnością. Uważam, że było to uzasadnione społecznie. Ze wzruszającym listem zwrócił się emerytowany profesor UMCS i doktor honoris causa tej uczelni, postać wielce zasłużona dla miasta i uczelni. Dziś ma już 82 lata i stan zdrowia nie pozwala mu na polowanie po sklepach. Na co? Ano na telazko i elektryczną kuchenkę do gotowania. Jedno i drugie mu się zepsuło i nie nadawało się do naprawy. Podjąłem decyzję o zakupieniu tych sprzętów i dostarczeniu profesorowi — staruszkowi do domu. Otrzymałem list, w którym dziękował i dziwił się, że zająłem się jego sprawą. Tylko, że to nie ja powinienem się nią zająć, a sprzedawczyni w sklepie gospodarstwa domowego. Niestety, brakuje nam zwykłej życzliwości, chęci ulżenia w kłopotach ludziom, którzy nie mogą walczyć o każdy drobiazg.

— Pomóżmy sobie sami?

— Ano właśnie...

— Nie owie pan chyba, że odwiedzający pana interesanci rozmawiali z głębokim okłonem?

— Oczywiście, że nie. Wiele wzyt kończy się w atmosferze dalekiej od „wzajemnego zrozumienia”. Niezadowoleni interesanci obiecują mi różne rzeczy, z których wyrzucenie z roboty jest stosunkowo najprzejmniejszą wersją.

— Przykład jakiś?

— Niedawno złożył mi wizytę, a właściwie dopadł na korytarzu i wymusił przyjęcie, mężczyzna w wieku około 50 lat. Twierdził, że jest zasłużonym działaczem i pytał, kiedy otrzyma mieszkanie. Utrzymywał, że właśnie przybywa z KC PZPR i że powinienem już coś o jego sprawie wiedzieć. Zapytałem, czy jest członkiem jakiejś spółdzielni, a na co on powiedział, że dopiero przybył do Lublina i tu zamierza zamieszkać. Odpowiedziałem, że nie widzę możliwości pomocy i spytałem, gdzie mieszkał do tej pory. Wówczas zaczął na mnie krzyczeć i w końcu zapytał, czy może powtórzyć naszą rozmowę w KC. Powiedziałem, że oczywiście.

— A tak powtórz?

— Jeśli prawdziwie, o ile tam się w ogóle wybiere, to nie mam nic naprzeciw. Był to jeden z petentów z manią wielkościową. Pomijam już fakt, że KC w żadne takie historie się nie angażuje. W przypadku skarg, które tam trafiają, pragmatyka jest taka, że władze centralne przesyłają skargę zgodnie z właściwością i niczego nie nakazują. Kontrolują natomiast tryb i sposób wyjaśniania skargi. Jest to zdrowa praktyka.

— Czym pana jeszcze strasza potencjał?

— Najczęściej enigmatycznie: „Pan jeszcze zobaczy”, „Pan nie wie z kim rozmawia”, „Ja panu pokazę”. Dużo jest też straszenia osobami o znanych nazwiskach.

— A najczęściej?

— Albinem Siwakiem.

— Czy nie przychodzi panu czasami do głowy, że się pan pomylił, godząc się na tę pracę? Czy nie żałuje pan decyzji sprzed roku?

— Nie mogę żałować. Słacam kredyt społecznego zaufania. Sama zaś decyzja wynikała z dość dokładnej znajomości tego, co mnie czeka, a nie z przypadku czy próżności. Nie sądzę również, abym się pomylił. Zresztą od oceniania tego jest kto inny.

— Skoro tak, to co uważa pan za najważniejsze w prezydenturze?

— Poczucie służebności tego stanowiska. W ogóle pracę w administracji państwowej uważam za służbę. Ciężką, odpowiedzialną i niewdzięczną służbę. Tu nikt nikomu nie robi łaski. To muszą rozumieć wszyscy pracownicy Urzędu Miejskiego.

— Rozumieją?

— Jeszcze nie wszyscy. Ale zdecydowana większość — tak. Ci, którym przychodziło to opornie, musieli odejść. Kluczem do zrozumienia tej prawdy jest odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Kompetencyjność decyzyjna wiceprezydentów, kierowników wydziałów, ich zastępców znacznie przez ten rok wzrosła. Decyzji „przypisanych” do prezydenta jest dziś już mniej. Myślę, że chyba lepiej.

— Gdyby mógł pan wybierać, co chciałby pan załatwić od rektora miasta?

— Mam nadzieję, mówimy o rzeczach realnych, a nie marzeniach z bajki. Podstawowym zadaniem jest zapewnienie miastu terenów pod duże budownictwo mieszkaniowe, a także budownictwo indywidualne. To limituje rozwój i nawet już nie rozwój, a prawidłowe funkcjonowanie Lublina. Wyjście jest jedno. Tereny 3700 hektarów z sąsiednich gmin muszą być włączone w obręb miasta. I to jest właśnie ta sprawa.

— I myśli pan, że gminy tak chętnie te tereny oddadzą?

— Nie. Dziwiłbym się nawet.

— Więc?

— Potrzebna jest uchwała WRN. Na tym szczeblu powinien już decydować realizm.

— Zycząc powodzenia.

Rozmawiał: Waldemar Piasecki

Szczesny

W POŁOWIE stycznia zmarł Józef Nowak. W wieczornym Dzienniku Telewizyjnym krótką wiadomość i zdjęcie: twarz znanego aktora zupełnie inna od tej jaką przywykliśmy od trzydziestu lat oglądać na ekranach jakaś postarzala, smutna. A przecież Nowak kojarzył się zawsze z tężyzną fizyczną, witalnością rozpierającą jego masywną, trochę kanciastą sylwetkę, z zawadiackim spojrzeniem i dobrym, wyrozumiałym uśmiechem.

Od 1950 r. był nieprzerwanie obecny w polskim kinie zróśli się z jego przemianami, osiągnięciami i upadkami. Wraz z Nowakiem pojawiał się na ekranie spokój; czy grał partyzanta, podoficera polskiej armii, dyrektora czy też milicjanta, wiadomo było, że wyprowadzi spletaną dramatycznie akcją na spokojne wody a skłóconych filmowych adwersarzy ułagodzi i pogodzi. Emanowała z niego jakaś niewzruszona pogoda życia, narzucające się nieodparcie przekonanie, że z najgorszych nawet tarapatów uda się wydstać obronną ręką. Był mistrzem drugiego planu; postaci przez niego kreowane — choć często epizodyczne — rysowały się z tą niezwykłą wyrazistością, jaka każe jeszcze po latach wspominać poszczególne sceny filmów, których treść dawno już się zatarała w pamięci.

Dla mojego pokolenia Józef Nowak był jednak przede wszystkim Szczesnym. Bohaterem dyptyku filmowego Jerzego Kawalerowicza: „Celuloza” oraz „Pod gwiazdą frygijską”. Filmy te, powstałe w 1954 r., Kawalerowicz nakręcił w oparciu o wydaną dwa lata wcześniej powieść Igora Newerly'ego — „Pamiętnik z celulozy”. Pozbawiona sztuczności i schematyzmu historia młodego wiejskiego chłopaka z głębokiej przedwojennej prowincji, który zostaje robotnikiem, a dalej — świadomym coraz bardziej swojej pozycji i swego miejsca w społeczeństwie — proletariuszem, wojownikiem o sprawiedliwość społeczną, sprawdziła się zarówno w wersji literackiej jak i filmowej. Po premierze „Celulozy” Krzysztof Teodor Toeplitz pisał na łamach „Nowej Kultury”: „Film ten nie wyrządził nam krzywdy przez stworzenie jednego schematu, który zdawało się, stał za problemem. Jest to schemat niedobrego ustroju i fejdowego pod jarzmem niesprawiedliwości nieskazitelnego ludu. [...] W filmie tym, mówiąc najogólniej, zlikwidowany został nieścisłość, wulgarno-socjologiczny automatyzm kierujący losami ludzi”. Zaś w szereg lat później Barbara Mruklik, oceniając w „Historii Filmu Polskiego” wczesne filmy Jerzego Kawalerowicza, stwierdziła: „Obie części „Celulozy” są swobodnym podsumowaniem osiągnięć artystycznych i możliwości twórczych w obowiązującej poetyce realizmu socjalistycznego. Były one też cenną inspiracją dla następnych filmów nurtu realizistycznego”.

„Celuloza” i „Pod gwiazdą frygijską” to były także filmy zwiastujące pojawienie się w polskim kinie młodego, zupełnie nowego pokolenia reżyserów: w kilka miesięcy po ich premierach zadeblutował „Pokolenie” Andrzej Wajda, a potem — „Błękitnym Krzyżem” — Andrzej Munk. Stąd już był tylko krok do narodzin „szkoły polskiej”...

Rola Szczesnego Bidy nie była pierwszym spotkaniem Józefa Nowaka z filmem: grał wcześniej epizody w „Warszawskiej premierze” Jana Rybkowskiego, w „Zołnierzu zwycięstwa” Wandy Jakubowskiej i w „Przygodzie na Mariensztacie” Leonarda Buczkowskiego. Ale Szczesny to było „wielkie wejście”, postać „czelozowa”, taka, od której zaczyna się kariera aktorska. Albo — na której można zwiznać sobie karierę już w samych podstaw Miał być Szczesny — Nowak postacią „pozytywną”, „socjalistycznym bohaterem”, „przykładem i wzorem”, a równocześnie musiał uważać, aby nie popaść w koturnowość, nie stać się jednym z filmowych „pomników”, których w ówczesnym kinie nie brakowało. A do tego jeszcze musiał się mierzyć z partnerami tej miary, co świetny, krwisty majster Czerwłaczek kreowany przez Stanisława Miśkiewicza, co pełna temperamentu Czerwłaczkowa — Teresa Szmigielówna oraz przyciągająca uwagę swą urodą Madzia —

Lucyna Winnicka. Nowak sprostał zadaniu. Jego Szczesny był ludzki: silny, męski, ale zarazem trochę nieporadny, chwilami niezdecydowany, ot właśnie: młody chłopak, a następnie mężczyzna, kształtujący swą osobowość w ciągłej konfrontacji dobra ze złem, sprawiedliwości z niesprawiedliwością, zwykłej namiętności z prawdziwym uczuciem, schematów myślowych, w których wzrastał w dzieciństwie z nowymi ideami.



Może łatwiej mu było budować rolę Szczesnego, bo sam urodził się (w 1925 r.) na wsi, w Kończycach pod Miechowem, a karierę życiową zaczynał jako robotnik; w czasie okupacji był maszynistą w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Przy tym właśnie teatrze ukończył, po wyzwoleniu, szkołę dramatyczną i złożył w 1946 r. w Krakowie aktorski egzamin eksternistyczny. Uczył się także prywatnie śpiewu u Eugeniusza Mossakowskiego.

Od 1949 r. Józef Nowak mieszkał w Warszawie. Grał w teatrach Narodowym i Dramatycznym. Niewielu spośród zwolenników talentu „Szczesnego” wie, że już bardzo wcześnie dały o sobie znać jego zdolności estradowe. W pierwszych latach pookupacyjnych występował w słynnym krakowskim kabarecie „Siedem Kotów”. Później, w Warszawie, znano go dobrze z występów w „Koni” i w „Owcy”. Występował w radiu, w telewizji, ale cała Polska znała Nowaka przede wszystkim z ekranu kinowego. Stworzył ponad siedemdziesiąt filmowych postaci, grał w większości głośnych polskich filmów i seriali telewizyjnych — m.in. w „Człowieku na torze”, „Eroice” i „Zezowatym szczęściu” Munka, w „Barwach walki” Passendorfera, w „Westerplatte” Różewicza, „Hubalu” Poręby, „Kardiogramie” Żaluskiego, w „Chłopach” Rybkowskiego, „Dyrektorach” Chmielewskiego, w serialu „Dom” Łomnickiego, w filmie Andrzeja Kondratiuka „Pełnia” (1979 r.), gdzie stworzył doskonale poprowadzoną, pierwszoplanową postać inżyniera, który szuka w wiejskim azylu, nad jeziorami, spokoju i ucieczki przed światem.

Dał się wreszcie poznać Józef Nowak jako piosenkarz. Był stałym uczestnikiem dorocznego Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, szczególnie upamiętnił się jako wykonawca, podczas FPZ w 1972 r., piosenki „Takie mu to dobre”. Otrzymał wówczas „Srebrny Pierścień”.

W 1973 r. został laureatem „Złotego Ekranu” — Odbierając go uśmiechał się tak, jak przed dwudziestu laty szczerpły, jasnowłosy Szczesny, gdy stojąc w szarym krajobrazie robotniczego Włocławka naprzeciw Madzi trochę nie wiedział, co począć z rękami.

M. D.

Krzyżówka nr 4 szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12		
13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	
40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	
53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	
66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	
79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	
92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	
105	106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	
118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129		
130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141		
142	143	144	145	146	147	148	149	150	151	152	153	154	

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadające im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworza pierwsze litery 12 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwor między słowami.

- Wyrazy pomocnicze:
- ścierńsko — 23, 118, 151, 122, 37, 41, 52, 139, 98, 145.
 - ma je szablę, nóż czy siekiera — 24, 67, 43, 128, 115, 11.
 - małż, ślimak — 7, 85, 16, 96, 82, 78, 29.
 - lekki, średni lub ciężki — 6, 77, 35, 109, 144, 88.
 - pierwsze wiosenne jarzyny — 9, 112, 67, 52, 139, 98, 145.
 - ciastka z jaj bitych na pianę — 1, 60, 12, 64, 69, 102, 46, 30, 121.
 - stopień urzędniczy — 32, 28, 76, 92, 47, 66, 73, 39.
 - poważanie, ceremonialny szacunek — 23, 61, 42, 132, 63, 97, 48.
 - rzymski strój — 5, 116, 21, 107, 49, 126, 10, do trzymania na wodzy — 18, 80, 143, 135, 2.
 - tam pociąg o 13.10 — 19, 51, 115, 72.
 - majowy śpiewak — 17, 36, 4, 147, 140, 56.
 - miasto włókienniczy — 3, 31, 25, 146.
 - posta z tego miasta — 130, 114, 45, 10, 150.
 - oprawuje alarm — 14, 104, 131, 54, 65, 27, 125.
 - państwo europejskie — 98, 74, 81, 13, 57, 55, 93, 119, 95.
 - poluje — 84, 62, 138, 153, 91, 141, 35.
 - dostarczają najlepszy kawior — 149, 59, 68, 154, 100, 50, 90, 137.
 - oprawka, rączka — 110, 103, 26, 8, 101, 75, 133.

- białe drzewo — 34, 111, 15, 38, 71, 86.
 - miasto hetmańskie — 78, 108, 136, 88, 151, 127.
 - o „ich” w „Na szkle malowane” — 123, 120, 44, 52, 119.
 - nie tacy i nie oddaje pieniędzy — 70, 134, 46, 38, 20, 195, 142.
 - maskotka, talizman — 129, 106, 124, 59, 148, 94.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 23, 20-350 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIA KRZYŻÓWKI NR 2 Z SZYFREM

- Poziomo:** siedło, obuch, afisz, admirał, dziób, wstęp, leśnictwo, uwaga mara, Gier, tiul, ropa raut, ruda, Asnek wior, panna, szczelina, bania, narty Kartagina, Made, wkład, trawa.
- Pionowo:** Sandauer, Pillea szablę, dziennikarz, brawo, centrala, ocet, kopia, chronologia, watek, Gaur, murza kwas, próbnik, tradycja, Weber, Panama, Neruda, sawa, cera.
- Szyfr:** Malarz, który w takich chwilach widzi guziki, nie widzi rewolucji.
- Zdanie krytyka krakowskiego zmarłego w latach wojny we Lwowie — Henryka Webera, cytowane przez Artura Sandauera w książce „Proza”.
- Nagrodę otrzymuje Eugenia Bożyk, ul. Hutnicza 25 m. 3, 20-214 Lublin.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEKDOTY

Na premierze sztuki Shawa „Święta Joanna” publiczność wywołała autora. Kiedy znakomity pisarz, witany burzą oklasków, pojawił się na scenie, jeden z widzów zaczął gwiżdżeć. Wzburzeni widzowie rzucili się na malkontenta, ale Shaw uciszył ich natychmiast.

— Ma pan zupełną rację gwiżdżąc — rzekł do protestującego — Moja sztuka jest bardzo głupia. Ale cóż my dwaj znaczymy wobec nich wszystkich? ...

Znakomity „latający reporter” Egon Erwin Kisch, zapytany kiedyś przez swoich przyjaciół, co sądzi o dziennikarzach amerykańskich, odpowiedział: — Można ich podzielić w zasadzie na dwa gatunki: tych, którzy piszą więcej niż wiedzą i tych, którzy więcej wiedzą, niż piszą.

Znakomity malarz, Wojciech Kossoł, często grywał w brydża z popularnym w okresie międzywojennym warszawskim jasnowidzem — Stanisławem Ossowieckim, który był jednak kiepskim brydżystą i lubił zaglądać partnerowi w karty, co Kossoł szalenie denerwowało. Pewnego razu malarz stracił cierpliwość i wykrzyknął:

— Stefanku, nie zaglądał mi w karty! Przecież jesteś jasnowidzem i powinienes bez tego wiedzieć, co mam w ręce!

— O, nie — odparł Ossowiecki — to nie byłoby fair play, ja moich zdolności nie wykorzystuję do takich spraw jak karty.

Wysperzał: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Małkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boelan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Fajak, Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja otwiera korespondencje z zamówionymi książkami. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 16-18. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 1, tel. 253-30. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-350 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-33, sekretarz redakcji 218-92, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-350 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji. PL ISSN 0137-7108. Ni indeksu 2625L.

— Jak reagują członkowie popularnej grupy rockowej na wieść o przyznaniu im Złotej Płyty?

— Ustamy najpierw jakiej grupy. Gdyby dotyczyło to, powiedzmy wykonawców z USA, Wielkiej Brytanii czy RFN, zapewne wykapaliby się w szampańskie.

— Czy muzyków Lombardu również stać na taki gest?

— Wolne żarty redaktorze. Oni na Zachodzie zarabiają miliony dolarów za rekordowe nakłady płyt. My zaś w nagrodę za Złota Płytę otrzymaliśmy trofeum powierzone cieniuteńką warszewką szlachetnego kruszcu i kilka tysięcy złotych dla każdego. Informacje o kokosach jakie zarabiają u nas muzycy rockowi, możesz włożyć między bajki.

— Skoro tak, to skąd macie aparaturę potrzebną do zaistnienia na estradzie?

— Oczywiście takiej aparatury nie zakupi się w kraju za pieniądze uciulane z koncertów. Przeważnie zaciągamy wysokie pożyczki gdzie się da (spłacane latami) czasem chałturzmy za granicą lub liczymy na pomoc opiekuna (któreś z „Estrad”) by zaopatrzyć się w najskromniejszy choćby zestaw instrumentalny. Syntezatory, którymi od pewnego czasu próbujemy wzbogacić brzmienie Lombardu, kosztują zawrotne sumy. W tej chwili dysponujemy pięcioma klawiaturami elektronicznymi ale kiedy pomyślimy co ma Keith Emerson, Rick Wakeman lub Jean-Michel Jarre, czujemy się niczym przedszkolaki.

— Mimo to uchodzą za ludzi, którym powiodło się w show-biznesie i których zalicza się do panteonu gwiazd estrady.

— Musisz wiedzieć, iż nie uważamy tego co dotąd zrobiliśmy za jakiś niebotyczny wyczyn. My wciąż sposobimy się do osiągnięcia takiej formy i takiego brzmienia jakie każdemu z nas będą autentycznie sprawiały satysfakcję. Do wymarzonego ideału jeszcze daleko. To prawda, że mieliśmy na listach przebojów kilkanaście piosenek. Udało nam się też wydać dwie duże płyty i zagrać kilkadziesiąt koncertów. Jesteśmy jednak realistami i wiemy, że znaczy to całkiem niewiele. Dlatego nie upajamy nas sukcesy raczej dopingują do dalszej pracy. Sława wykonawców rockowych jest w naszym kraju bardzo chybotała; ludzie skandujący dziś na twoją cześć, jutro mogą cie opluć, jeśli nie spodoba im się twoje granie. My nigdy nie myśleliśmy o sobie w kategoriach gwiazd. Jesteśmy zwyczajni, zarówno na scenie, jak i poza nią. Nie pozu-

Tęcza nad okiem

- włosy „na szuwary”

Rozmowa z muzykami Lombardu

jemy, nie szpanujemy, jak próbują to czynić niektórzy muzycy. Po prostu nie jest to nam potrzebne.

— A jednak Małgosia maluje tęczę nad okiem i farbuje włosy przyszczone „na szuwary”...

— Naszym zdaniem, niewiele to ma wspólnego ze szpanem. Scena rockowa stanowi swoje prawa i wymagania, które próbujemy choćby w części respektować. Zwróć uwagę na to, że nie stosujemy wymyślnych makijaży ani szokujących kostiumów. Żadną miarą nie możemy uchodzić też za entuzjastów mody punk. Ta fryzura Małgoski to jeden z nielicznych elementów scenicznej charakterystyki.

— Czy po kilkuset wykonaniach tych samych piosenek możecie jeszcze słuchać siebie bez irytacji z płyt lub radia?

— Te piosenki są melodyjne, niezbyt skomplikowane i łatwo dają się jeszcze strawić. Ale nie przepadamy za słuchaniem utworów firmy Lombard. Wolimy już posłuchać kogoś innego. W końcu człowiek żyje nie tylko własną muzyką. Dla higieny psychicznej słuchamy modnych nagrań zachodnich. Nie wszystkimi jednak „achwycamy się. Coraz popularniejsza tała elektryczna disco, czyli new romantic, to w większości przypadków zwykły kit.

— Macie za sobą wyjazd do Holandii. Jak tam odbierano waszą rytmiczną muzykę?

— Gościliśmy w Holandii zaledwie 11 dni. Był to wyjazd rekonesansowy na zaproszenie punk-rockowej grupy Defect. Graliśmy pięć koncertów w klubach, gdzie przyjęto nas z lekkim zdziwieniem. Wbrew temu, co się mówi i pisze w kraju, rock z Polski jest dla holenderskich fanów nieodkrytą planetą. Wcześniejsze koncerty Budki Suflera, Kombi i Maanam w holenderskich miastach nie przybliżyły widać tamtejszej publiczności polskiej muzyki rockowej. Recenzje mieliśmy różne, ale wrażenia wywiezione z Kraju Tulipanów są „pozytywnie optymistyczne”. W tym roku wybieramy się do Włoch i sądzimy, że tam będzie trochę lepiej.

— Podajcie najkrótszą definicję muzyki Lombardu.

— Śmiesz nas bardzo opłnie, jakie wypisują na nasz temat panowie krytycy, którzy porównują nas z innymi, tropią echa muzyczne. Tymczasem my gramy prostego pop-rocka. W tej definicji zawiera się w zasadzie wszystko, to znaczy melodyjny temat ubrany w mniej lub bardziej rockowy kostium. Nieważne, czy w aranżacji dominują gitary, czy też syntezatory. Chcemy uniknąć popadnięcia w schemat i celowo próbujemy za każdym razem grać nieco inaczej.

— Podobno przygotowujecie nową płytę?

— Nie jedną, a dwie. Pierwsza będzie typową składanką, zmontowa-

na z ubiegłorocznych nagrań radiowych. Część z nich, jak choćby „Kto mi zapłaci za łzy”, „Wolne od cła”, „Akuhara — kraj ze snów”, „Dwa słowa, dwa światy”, nie doczekało się szerszej popularyzacji. Płyta stworzy więc taką okazję. Wydać ma ją Tonpress w porozumieniu z tygodnikiem „Razem”. Prawdziwą nowością będzie natomiast album, który nagrywamy w marcu dla Savitoru. Decydujemy się na współpracę z firmą polonijną, bo gwarantuje nam ona ekspresowe (jak na polskie warunki) tempo produkcji. Czujemy, że dopiero ten czwarty longplay będzie oddawał styl, klimat i brzmienie, o jakie zabiegaliśmy od dawna. Mamy sporo ciekawych pomysłów, które nie powielają nikogo i przy solidnym opracowaniu mogą zaowocować dobrymi przebojami. Nie podpinamy się pod żaden z modnych obecnie nurtów. Idziemy środkiem muzyki rockowej, który dla profesjonalistów zostawia spore pole manewru. Staramy się wykorzystywać zapal i pomysły całej piątki. Czy zyskają one akceptację słuchaczy, zobaczymy niebawem. Cieszy nas fakt, że nie musimy już korzystać z pomocy zaprzyjaźnionych autorów. Sami potrafimy napisać niezłe piosenki.

— Dziękuję wam za wypowiedź.

Rozmawiał:

Istvan Grabowski

Majaki z przeszłości

POD koniec miesiąca udałem się jak zwykle do sklepu, by opłacić abonament na dostawę mleka do domu. Przy ladzie nie zastałem jednak sympatycznej staruszki, która od lat inkasowała pieniądze lecz dwóch tęgich mężczyzn z opaskami, na lewych przedramionach ze szturmówkami w prawicach oraz znaczkami w klapach białych kitli. Przed nimi leżało krzyżem kilka kobiet. Napis na ścianie głosił, że staruszka została porwana przez Niezależne Samorządne Stowarzyszenie Roznosicieli Mleka i zostanie zwrócona społeczeństwu tylko wtedy, kiedy zostaną zrealizowane postulaty NSSRM. W interesie osiedla powinno więc być jak najszybsze sprowadzenie sekretarza ONZ, gdyż tylko z nim będzie rozmawiać komitet porozumiewawczy.

— Zgódźcie się na premiera — błagała korpulentna blondynka leżąca z prawej strony lady.

— Nie ma mowy — burknął stojący nad nią protestant. — My też swój honor mamy.

— Co tu ma do rzeczy honor? — spytałem.

— Z innymi rozmawiali już i podsekretarze stanu, i ministrowie i wicepremierzy, i premier, więc teraz my musimy sięgać wyżej — stwierdził drugi protestant, a w jego oczach zauważyłem determinację.

— Oddajcie mi babcię. Oddajcie mi babcię — zakwiliło kłęczące pachole.

— Wypuścimy ją, gdy zostanie spełniony nasz pierwszy postulat — równocześnie odpowiedzieli protestanci.

— Co to za postulat? — zainteresował się klient w średnim wieku, który z uwagi na sztywną nogę nie mógł kłęcząc.

— Na pytania odpowiada nasz rzecznik przy stoisku winno-cukierniczym. My tu jesteśmy od wartowania i szluz.

Ruszyliśmy biegiem do rzecznika. Okazał się nim cherlawy, nerwowy inteligent z kozią bródką

i zaawansowaną łysiną czołową. Pod czarnym uniformem grały mu mięśnie zdolne podnieść trzy butelki mleka naraz. Z regularnością patefonu odczytywał listę siedemdziesięciu pięciu postulatów, przepłukując gardło „złota rosa” i przecierając od czasu do czasu serwetką ciemne okulary. Na życzenie nowo przybyłych powtórzył postulat naj-



Rys. Z. Pytlík

ważniejszy: „żadamy zlikwidowania obowiązku donoszenia mleka pod drzwi”.

— Panowie co wy... — nie wytrzymał pomarszczony staruszek.

Rzecznik spojrzał na niego z nie ukrywaną pogardą.

— Pan, o ile się nie mylę, człowiek wczorajszy, z burżuazyjnymi nawykami. Pomoc domowa sprzątała, obiadek gotowała, zakupy robiła, dzieci wychowywała, a pan rozwalony na sofie żył sobie z wyzysku klasy robotniczej. Skończyło się panie, babci pranie. Nie będzie już klient płuł nam w twarz i w łóżku się barłozyl!

— Ale ja mam małe dzieci — piskliwie skonstratowała postawna szatynka.

— A roznosiciele ich mieć nie mogą, bo się muszą po nocach z mlekiem waleśać — odparował rzecznik.

— Kiedy oddacie mi wreszcie babcię? Kiedy... — znów zakwiliło pachole.

— To nie zależy od nas, ale od sekretarza ONZ. Parafuje pierwszy punkt porozumienia — babcia wróci nie parafuje — będzie siedzieć w chłodni składowej.

— Czy sekretarz ONZ już o tym wie? — spytałem nieśmiało.

Rzecznik zmieszał się nieco, ale odpowiedział z godnością:

— Nie, jeszcze nie, gdyż do jutra strajkują amerykańscy łącznościowcy.

— Przyjedzie więc pojutrze? — nie ustępowałem.

— To nie jest takie pewne, gdyż zapowiedzieli strajk amerykańscy transportowcy.

— Nie mogliście z nimi tego jakoś uzgodnić? — wtracił się klient o wyglądzie urzędnika niższej rangi.

— My się z nimi solidaryzujemy — zagrzmiał dyszkantem rzecznik. — Łącznościowcy walczą bowiem o wprowadzenie zakazu roznoszenia przesyłek, a transportowcy o zakaz przewożenia pasażerów.

— Panowie, a co wy będziecie robić, jak wywalczycie realizację postulatów? — zainteresował się przedwojenny staruszek.

— Z takimi pytaniami nie należy zwracać się do nas, ale do władz. W końcu to one powinny przedstawić jakiś program działania, a wtedy my go skonsultujemy, przedyskutujemy i albo przyjmiemy, albo odrzucimy.

Ostatnie słowa rzecznika zagłuszył dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę. Sympatyczna pani z poczty poinformowała mnie, że pora wstawać. Otworzyłem drzwi. Na progu, jak zwykle, stała butelka mleka. Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie będę przed położeniem się do łóżka oglądał publicystycznych programów telewizyjnych.

Wacław Dominił